

13⁰⁰
17⁰⁰

super
LUNCH

tylko za
13 zł

villagusto.pl
Gorzów Wlkp. Sikorskiego 21
vis à vis Park 111
tel. kom. +48 720 02 02 02

Codziennie nowe informacje na www.echogorzowa.pl

ECHOGORZOWA.PL

• MIESIĘCZNIK BEZPŁATNY •

• SIERPIEŃ 2015 • NR 8/2015

Bywały tu słynne samoloty i bywali też słynni piloci

Już 21 sierpnia br. rozpocznie się dwudziesty piąty, jubileuszowy Piknik Lotniczy w Trzebiczu Nowym. Więcej o tym niezwykłym wydarzeniu piszemy na s. 16.



Fot. Archiwum

Lato, trwaj jak najdłużej!

Lato w pełni, to i u nas trochę letnio, choć całkiem poważnie.

A już o barszczu Sosnowskiego piszemy całkiem poważnie, bo groza wieje jak się słucha i czyta o groźnych poparzeniach, a nawet śmierci osoby, która nawet tej rośliny nie dotknęła. A rośnie ona u nas w wielu miejscach, co rusz to innych, bo znakomicie się rozsiewa, a i klimat jej sprzyja. I nie na wiele się zda je mechaniczne oraz chemiczne tępienie i niszczenie. Lepiej więc na ten trujący barszcz uważać.

Za to prawie letnim tematem jest historia gorzowskich wizualizacji i makietek. Całkiem sporo w ostatnich latach ich powstało i znakomicie ilustrują one chęć nie tyle samych gorzowian, co poprzedniej władzy. Trochę jednak szkoda, że część z nich nie została zrealizowana w formie rzeczywistych inwestycji, innych zaś nie ma co żałować. Pomarzyć i popatrzeć zawsze jednak można. Jak chociażby w przypadku makietki projektowanych Schodów Donikąd.

Trochę wspomnień latem także nie zaszkodzi. Stąd wspominkowa rozmowa z legendarnym żużlowcem Andrzejem Pogorzelskim oraz wywiad z futbolistą, trenerem i działaczem Leszkiem Janowiakiem, na okoliczność 70-le-

cia klubu sportowego Warta, czyli dawniejszego Kolejarka, który był kolebką gorzowskiego sportu. A jest co wspominać, bo i sportu był u nas kiedyś co niemiara, i gorzowianie chętnie ten sport uprawiali. Teraz inne sporty ludziom w głowie... No i staliśmy się wygodniejsi oraz bogatsi, choć biedniejsi zarazem.

A skoro mamy lato i to w swym szczycie, to polecamy turystyczne wojaże. Bliższe i dalsze. Tu w gazecie jedynie zachęcamy i zrażamy turystyczną pasją, ale na naszym portalu w zakładce Na szlaku polecamy setki różnych ścieżek, tras i szlaków – w bliskim sąsiedztwie, w regionie, ale i na świecie. Okazuje się bowiem, że zapalonych turystów i włóczykijów w naszym mieście nie brakuje. I do tego samego zachęcają innych, bez względu na wiek, kondycję fizyczną i zasobność portfela. Każdy coś znajdzie dla siebie. A do Trzebicza Nowego koło Drezdenka na 25. Piknik Lotniczy wybrać się mogą wszyscy, do czego zachęcamy już od dłuższego czasu, bo takich wydarzeń blisko nieba i ludzi więcej w regionie nie ma. A lato niech trwa jak najdłużej!

JAN DELIJEWSKI





HOTEL GORZÓW



HOTEL GORZÓW, ul. Walczaka 20, Gorzów Wlkp. e-mail: recepja@hotelgorzow.pl www.hotelgorzow.pl

KALENDARIUM
Sierpień 2015

● 1.08.

1977 r. - do Gorzowa przyłączono wsie Chróścik, Karnin, Małyszyn, Zieleniec oraz część sołectw Baczyna, Chwałęcice, Kłodawa, Santocko, Wawrów i Wieprzycze; powierzchnia miasta wzrosła z 54 do 78 km kw.

1886 r. ur. Włodzimierz Korsak, pisarz, podróżnik i przyrodnik, przez blisko 25 lat związany z Gorzowem, zm. w Krakowie w 1973 r.

● 2.08.

2007 r. - po 59 latach zakończyło działalność kino „Słońce”.

1988 r. zm. Kazimierz Nir (73 l.), łucznik i trener łucznictwa, działacz WZSN „Start”, wielokrotny reprezentant barwy Polski na ME inwalidów.

1993 r. zm. Zygmunt Dolinkiewicz (48 l.), nauczyciel w SP nr 9 i 15, szkoleniowiec piłkarzy ręcznych; od 1994 r. w SP 15 odbywają się ogólnopolskie turnieje młodzików jego imienia.

● 3.08.

1997 r. - stadion żużlowy przy ul. Ślaskiej otrzymał imię Edwarda Jancarza.

1974 r. zm. dr Władysław Przybylski (55 l.), pionier Gorzowa, dyrektor Obwodowej Przychodni PKP (1948-1974), współorganizator, zawodnik i prezes motoklubu „Unia”; zginął w wypadku samochodowym.

● 4.08.

1987 r. zm. Edward Borowski (48 l.), elektryk z EC w Gorzowie, w 1980 r. członek MKS, od 1981 r. - przewodniczący Zarządu Regionu Gorzowskiego NSZZ „Solidarność”, następnie w strukturach podziemnych.

2011 r. zm. Marek Pudełko (66 l.), aktor, nestor gorzowskiej sceny; w Gorzowie z krótkimi przerwami od 1976 r.

● 5.08.

1949 r. - z inicjatywy Ligi Kobiet w ramach aktywizacji zawodowej kobiet powstała Robotnicza Spółdzielnia Pracy Rymarsko-Galanteryjna, dziś „Asko-Świt”.

1917 r. ur. Jerzy Uniecki, stomatolog i pionier Gorzowa, b. żużlowiec, działacz sportów motoryzacyjnych, współzałożyciel i prezes Motoklubu Unia, kierownik sekcji żużlowej Gwardii i Stali, od 1956 r. - w Szczecinie, zm. w 1983 r.

● 7.08.

1915 r. ur. Bolesław Kasierski, kolejarz i działacz sportowy, długoletni zawiadowca stacji Nowe Drezdenko, zawodnik MKS Lubuszanie i następnie sędzia piłkarski, b. członek zarządu PZPN i GOZPN w Gorzowie (1976-1991), b. przewodniczący Okręgowego Kolegium Sędziów, zm. w 1995 r.

1927 r. ur. Stefan Kwaśny, legendarny toromistrz Stali, wielokrotnie honorowany tytułem najlepszego toromistrza w kraju, zm. w 1990 r.

● 8.08.

1977 r. - w następstwie ponad 6-godzinnej wieczorno-nocnej burzy

Papusza tchnie nowe życie w nie do końca umarłą willę

Gorzów po II wojnie światowej stał miejscem zamieszkania Polaków z różnych stron świata.

I nie tylko Polaków. Każdy przywiózł tu z sobą raczej niewiele dobytku materialnego, ale za to bogactwo tradycji, wierzeń i zachowań. Za ich przyczyną i sprawą Gorzów stał się miastem wielu kultur, co oficjalnie zostało zauważone i ogłoszone dopiero całkiem niedawno.

Dobrze się więc stało, że doszło do porozumienia między ministerstwem administracji i cyfryzacji oraz władzami naszego miasta przy udziale wojewody w sprawie powołania do życia Instytutu Papuszy w Gorzowie. To oznacza, że Cyganie doczekają się wreszcie instytucjonalnego usankcjonowania swojej tu bytności i uznania dla doboru nie tylko kulturowego. Ale Papusza ma być tu także symbolem, bo instytut jej imienia zajmować się ma nie tylko Cyganami, ale i innymi nacjami i



Willa Jaehnego zyska szansę na drugie życie.

mniejszościami etnicznymi. Bo przecież z Gorzowem mniej lub bardziej

związani byli i są również Ukraińcy, Łemkowie, Tatarzy, Grecy, Żydzi, ale i Nie-

mcy oraz inni. To z myślą o nich i o nas Instytut Papuszy ma dokumentować,

krzewić i promować wszelkie wartości związane z mniejszościami. Instytut ma wszelkie dane ku temu, by stać się znaczącą placówką kulturalną, ale i społeczną oraz naukową na mapie kraju

Na ten cel zostanie przeznaczona zostanie willa Jaehnego przy Kosynierów Gdynskich, która w sąsiedztwie pięknej biblioteki od lat niszczeje i czeka na lepsze czasy. To może być znakomite miejsce dla tego typu placówki, zresztą sąsiadującej także z pomnikiem samej Papuszy, która z podszeptami wiatru w Parku Róż dalej mówi swoje wiersze i wróży każdemu, kto przy niej przystanie. Tak więc Papusza, choć symbolicznie, tchnie nowe życie w nie do końca umarłą willę landsberskiego fabrykanta.

JAN DELIJEWSKI

Lokale użytkowe do wynajęcia po nowemu

Rada miasta przyjęła uchwałę o nowych zasadach wynajmu lokali użytkowych.

Stawki czynszu będą określone przez prezydenta za zgodą właściwych komisji rady miasta. Mowa o komisjach gospodarki i rozwoju oraz budżetu i finansów. Nowe zasady gospodarowania lokalami mają na celu stworzenie warunków dla działań wspierających zarówno działalność podmiotów gospodarczych, jak i organizacji oraz stowarzyszeń działających na rzecz mieszkańców. Przyjęta uchwała, oprócz sprawdzonych rozwiązań funkcjonujących dotychczas, wprowadza zmiany zwiększające efektywność gospodarowania lokalami użytkowymi. Wprowadzone zmiany mają na celu odformalizowanie i skrócenie procesu od chwili uzyskania przez miasto dyspozycyjności lokalu do jego wynajęcia oraz skrócenie procedur w sprawach związanych z najmem lokalu.

Nowe zasady gospodarowania lokalami mają nie



tylko pobudzić przedsiębiorczość, ale obniżyć koszty utrzymywania... pustych lokali. Jak zauważa dyrektor wydziału gospodarki nieruchomościami **Barbara Napiórkowska**, plusem zmian jest także uelastycznienie przepisów, dzięki czemu łatwiej i szybciej będzie można wystawiać lokale po nierozstrzygniętych przetargach. Pozwoli to na zwielokrotnienie możliwości zawarcia umowy z potencjalnymi

podmiotami w znacznie krótszym czasie. Lokal wolny po dwóch przetargach będzie mógł być oferowany w trybie konkursu ofert lub bezprzetargowo.

- Pierwsze lokale do przetargów mają trafić jeszcze w lipcu, ale na efekty zmian zapewne trzeba będzie poczekać. Nie przypuszczam również, żeby obniżka stawek wywołańczych spowodowała załamanie rynku lokali prywatnych. Dobry lokal zawsze

będzie miał wzięcie, o czym możemy się przekonać każdorazowo, kiedy wystawiamy nasze najlepsze lokale. Uzyskują one najczęściej dobre stawki - zwraca uwagę dyrektor Napiórkowska.

Działania władz miasta poszły w kierunku zniesienia trzech dotychczasowych stref. Stawka podstawowa na każdy lokal będzie jednako w całym mieście i w przypadku handlu oraz usług wyniesie 12 zł za metr kwadratowy, a w przypadku gastronomii 8 zł. Do tej pory stawki do licytacji w przypadku strefy A (centrum) wynosiły odpowiednio 24,20 zł i 12 zł.

Miasto obniża również stawki czynszu dla piwnic do 20 procent wylicytowanej stawki, wprowadza czynsz w wysokości kosztów eksploatacji na początku prowadzenia działalności oraz na czas remontu do 60 dni, a także dla rozpoczynających działalność gospodarczą i

korzystających z pomocy finansowej z Urzędu Pracy. W trybie bezprzetargowym lokale mogą być także wynajmowane osobom, które już prowadziły działalność gospodarczą, ale z różnych powodów zrezygnowały, lecz chcą po minimum trzyletniej przerwie ponownie spróbować sił w biznesie. Dobrym posunięciem wydaje się również możliwość przepisania umowy na rzecz osób bliskich najemcy przez wynajmującego lokal, który chce zakończyć działalność. Uchwała rady miasta dopuszcza możliwość ponownego zawarcia umowy najmu, jeżeli przyczyną rozwiązania było zadłużenie najemcy i zostało w całości uregulowane. W każdej sytuacji podstawowym warunkiem jest to, że stawka czynszu netto nie może być niższa od kosztów eksploatacyjnych dla danego lokalu.

RB

Barszcz, który parzy, truje, a nawet zabija

Barszcz Sosnowskiego to roślina, która może poparzyć nawet na odległość.

Szczególnie szkodliwa jest podczas upałów. Występuje praktycznie w całej Polsce. Rany goją się trudno i odnawiają po wystawieniu na słońce nawet przez kilka lat. Samo oddychanie w pobliżu tej rośliny grozi zatruciem organizmu. Są już tego ofiary, nawet śmiertelna. Taki barszcz lepiej więc omijać z daleka.

Czym jest barszcz Sosnowskiego?

Pochodząca z Kaukazu roślina, przypominająca koper, do Polski została sprowadzona w latach 50. XX w., a w latach 60. zaczęła być uprawiana na paszę dla zwierząt. Był nadzieją byłych PGR-ów na tanią i wartościową paszę. Szybko okazało się jednak, że w naszym klimacie osiąga kilkumetrowe rozmiary i wydziela parzące soki. Powodował przy tym zmianę smaku mięsa i mleka od karmionych nim krów i był niebezpieczny dla pracujących przy nim ludzi.

Szybko zaprzestano hodowli barszczu, jednak roślina zaczęła sama się rozrastać. Od tej pory się rozprzestrzenia. Nie dość, że jest bardzo inwazyjna, to jeszcze powoduje degradację środowiska. Uprawianie, rozmnażanie i sprzedaż tzw. barszczu Sosnowskiego są w Polsce zakazane. Roślinę rozpoznać można po bardzo okazałych liściach, wysokich, baldachowatych kwiatostanach sięgających nawet cztery metry wysokości i po nieco nieprzyjemnym zapachu. Bardzo łatwo się rozsiewa i szybko rozrasta



Barszcz Sosnowskiego rozpoznać można po bardzo okazałych liściach.

niszcząc przydatne gatunki roślin.

Poparzenia i zagrożenia

Niebezpieczne jest dotykanie i przebywanie w pobliżu rośliny, a spożycie barszczu może spowodować stan zapalny przewodu pokarmowego i wewnętrzne krwawienia. Dotyczy to zarówno ludzi jak i zwierząt domowych. Barszcz Sosnowskiego jest niebezpieczny dla ludzi, bo jego sok zawiera furanokumaryny. Są to związki, które powodują oparzenia skóry I i II stopnia. Reakcje na jego działanie są różne: jedni czują pieczenie po kilku minutach, inni - nawet po tygodniu. Stan zapalny zaczyna ustępować zwykle po trzech dniach, ale ciemne za-

barwienie skóry może się utrzymywać miesiącami. Warto pamiętać, że oparzone miejsca są wrażliwe na promieniowanie ultrafioletowe nawet przez kilka lat. Odnotowano przypadki osób szczególnie wrażliwych na substancję wydzielaną przez barszcz Sosnowskiego, a poparzenia zagrażały nawet ich życiu.

Jak z nim walczyć?

Barszcz Sosnowskiego jest szczególnie niebezpieczny podczas upalnych dni. Wokół rośliny powstaje silne stężenie parzącej substancji, więc oparzenie może wywołać samo zbliżenie się do barszczu. W takiej sytuacji należy pamiętać o ochro-



Oparzenia może wywołać samo zbliżenie się do rośliny.

nie nie tylko skóry, ale także dróg oddechowych.

Barszcz Sosnowskiego jest bardzo trudny w zwalczaniu, bo jedna roślina wytwarza mnóstwo nasion, które mogą kiełkować nawet po kilku latach. Dlatego zaleca się obcinanie kwiatostanów, wykopywanie roślin, a także niszczenie ich za pomocą środków chemicznych takich jak Roundup. Jeżeli dojdzie do kontaktu z rośliną, należy jak najszybciej umyć zaatakowane miejsce wodą z mydłem i przez dwa-trzy dni nie wystawiać go na słońce. W przypadku rozległych oparzeń lub reakcji alergicznej należy skontaktować się z lekarzem.

Usuwanie barszczu Sosnowskiego z terenów, które-

go właścicielem jest miasto Gorzów Wlkp., zajmuje się Wydział Gospodarki Komunalnej i Transportu Publicznego UM (tel. 95 7355855 lub 697522616). Za zwalczanie barszczu Sosnowskiego odpowiada właściciel terenu, na którym rośliny się znajdują. Przed rozpoczęciem usuwania zalecany jest jednak kontakt z podanym wyżej wydziałem UM lub Strażą Miejską (tel. 95 7355728) w celu uzyskania stosownej pomocy.

Na podstawie materiałów Wydziału Gospodarki Komunalnej i Transportu Publicznego oraz Wydziału Zarządzania Kryzysowego Urzędu Miasta oraz WSSE w Gorzowie.

KALENDARIUM Sierpień 2015

z ulewą w Gorzowie odnotowano 77,4 mm opadu; jest to rekord w historii miasta.

2013 r. - w Gorzowie zniesiono zakaz deptania po trawnikach i skwerach.

● 9.08.

1947 r. - powstały Gorzowskie Warsztaty Mechaniczne, Sp. z o.o. Wieprzycze, która dała początek zakładom „Zremb”.

1984 r. - podczas towarzyskiego meczu z Włochami w Gorzowie, który reprezentacja Polski wygrała 81:27, Edward Jancarza doznał groźnej kontuzji, która przyspieszyła koniec jego kariery na torze; Włosi wystawili bardzo młody, niedoświadczony zespół, wyposażony w doskonałe maszyny z silnikami GM i Weslake, właśnie niedoświadczenie Włocha, było m.in. przyczyną tragicznego wypadku, do którego doszło w 10. wyścigu.

1992 r. - w Gorzowie odnotowano 37,3o - najwyższą temperaturę w mieście od 33 lat.

● 10.08.

1945 r. - w browarze przy ul. Pocztowej w Gorzowie, należącym dawniej do braci Gross, wznowiono produkcję piwa; później była tu już tylko rozlewnia piwa HSI „Odnova”.

1947 r. - na bieżni lekkoatletycznej stadionu przy ul. Mysłiborskiej zorganizowano pierwszy Złoty Puchar Ziemi Lubuskiej na żużlu; wygrali leśzczynianie, najlepszy z gorzowian, Antoni Kapusta, zajął III miejsce.

1948 r. - na bazie Spółdzielni Pracy „Dąb” powstał Zakład Produkcji Elementów Budowlanych Stolarska i Parkieciarstwa, później „Stolbud”, który istniał do 2003 r.

1959 r. - na stadionie przy ul. Mysłiborskiej zapowiedziano atrakcyjny Mecz Piłki Nożnej pomiędzy „Górnikiem” Zabrze - „Unią” Gorzów. W drużynie „Górnika” zobaczmy reprezentantów Polski: Gawlika, Pohla, Jankowskiego, Lentnera, Floreńskiego; wyniki spotkania nie zachował się.

2000 r. - oddano do użytku Rondo Santockie.

● 11.08.

1999 r. zm. Edmund Zborowski (88 l.), blacharz, pionier gorzowskiego tenisa, który w 1949 przeprowadził odbudowę i renowację kortów tenisowych w Parku Słowiańskim.

● 12.08.

1921 r. ur. Sylwester Koralewski, fotograf, pionier Gorzowa, założyciel firmy „Foto-Koralewski”, zm. w 1989

● 13.08.

1950 r. - z okazji 5-lecia ZKS „Kolejarz” w Gorzowie zorganizowano pierwszy na Ziemi Lubuskiej wielki mityng lekkoatletyczny.

1971 r. - do pierwszego wieżowca przy placu Staromiejskim wprowadzili się pierwsi lokatorzy.

2000 r. - bp Adam Dyczkowski konsekrował kościół pw. św. Maksymiliana Kolbe w Gorzowie, budowany w latach 1986-1994.

Galeria Manhattan będzie otwarta jesienią!

Z kilkuletnim opóźnieniem, ale Galeria Manhattan na Górczynie doczeka się wreszcie otwarcia.

Aż nie chce się wierzyć, że ma się to stać na przełomie września i października, jak zapewniają właściciele i wykonawcy z firmy INTERBUD WEST, patrząc na stan zaawansowania prac budowlanych, które dopiero wkraczają w fazę wykończeniową. Oby jednak im się udało, ku radości tysięcy mieszkańców Górczyna i całego miasta.

Na ponad 9300 metrach kwadratowych ma się tam znaleźć m.in. salon obuwniczy CCC, drogerie Rossmanna, supermarket spożywczy Piotr i Paweł oraz multiplex CINEMA 3D z pięcioma salami kinowymi. Około 70% powierzchni ma już najemców, na pozostałą część wciąż są poszukiwani. W sumie ma być ponad 60 sklepów i punk-

tów usługowych. Do tego dochodzi parking na blisko 140 miejsc wewnątrz galerii oraz ponad 150 miejsc parkingowych na zewnątrz. Ponadto w tym samym terminie ma być skończona droga łącząca ul. Kombatantów i Szarych Szeregów, a stanowiąca również dojazd do samej galerii.

Historia budowy galerii na Manhattanie rozpoczęła się

w 2011 r. Inwestorem była poznańska spółka GALERIA PIAST, a głównym wykonawcą gorzowski INTERBUD WEST. Poznańska spółka nie udźwignęła jednak ciężaru tej inwestycji i po okresie zastoju oraz zamieszania 100% jej udziałów przejął gorzowski wykonawca tej budowy, w zamian załugi i

zobowiązania. I postanowił ją kontynuować na własny rachunek, choć nie od razu, bo też nie od razu udało się znaleźć źródła finansowania. W ostatnim czasie prace przy budowie uległy przyspieszeniu i jest nadzieja, że jeszcze w tym roku pójdziemy tam na zakupy lub do kina.

DEL

KALENDARIUM Sierpień 2015

2011 r. - Stilon Gorzów, następca GKP, wystartował w rozgrywkach IV ligi piłkarskiej.

2011 r. - otwarto wschodnią część zmodernizowanego bulwaru nad Wartą.

2008 r. zm. Róża Aleksandrowicz (75 l.), kupiec, b. radna WRN i RM, b. przewodnicząca gminy mużułmańskiej w Gorzowie.

● 14.08.

2004 r. - gorzowska wyprawa wysokogórska pod kierownictwem Jana Palejczyka zdobyła Elbrus (5642 m), najwyższy szczyt Kaukazu; na szczycie stanęli także Edyta Świdarska, Michał Palejczyk, Artur Brykner, Tomasz Walkowiak, Grzegorz Palka, Krzysztof Mazurek, Tomasz Wojcieszynski; Artur Brykner zjechał z góry na desce snowboardowej, skręcając sobie nogę.

● 15.08.

1945 r. - kardynał August Hlond, prymas Polski, powołał administrację kościelną na Ziemiach Odzyskanych; utworzona została Administracja Apostolska Lubuska, Kamieńska i Północnej Pilskiej z siedzibą w Gorzowie; Gorzów został przekazany protokolarnie przez sowieckie władze wojskowe administracji polskiej; poświęcono kościół pw. MB Anielskiej, obecnie Wniebowzięcia NMP w Osiedlu Poznańskim; w mieście odbyła się pierwsza impreza muzyczna

1952 - rozpoczęto budowę linii tramwajowej od ul. Warszawskiej przez Podmiejską i Pomorską do bramy GZWS przy ul. Walczaka.

1972 r. - Wytwórnia Elementów Prefabrykowanych w Gorzowie rozpoczęła produkcję płyt systemu WUFT; z płyt tych zbudowano m. in. Osiedle Staszica.

1992 r. - nadany został pierwszy program Telewizji Vigor; telewizja ta funkcjonowała do 2000 roku

● 16.08

1950 r. zm. Władysław Andryka (22 l.), chorąży AK, przywódca organizacji „Młode Pokolenie Walczy”; zginął podczas próby aresztowania przez funkcjonariusza UB w kinie „Capitol”.

● 17.08.

1908 r. ur. wg wersji autobiograficznej - Papsza, czyli Bronisława Wajs, pierwsza cygańska poetka pisząca w języku romskim, przez blisko 30 lat związana z Gorzowem, zm. w 1987 r. w Inowrocławiu.

● 18.08.

1989 r. - powstało Gorzowskie Porozumienie Środowisk Niezależnych (GPSN); utworzyły je: Klub Chrześcijańsko-Demokratyczny, Gorzowski Klub Polityczny „Ład i Wolność” oraz RMN, miała to być płaszczyzna dyskusji i współdziałania środowisk przełamujących dotychczasowy monopol polityczny PZPR oraz działających na rzecz państwa obywatelskiego; GPSN weszło następnie w skład Komitetu Obywatelskiego.

1926 r. ur. Bolesław Stocki, nauczyciel, kombatan AK, twórca gorzowskiego kajakarstwa, bu-

Pojechać ścieżką rowerową z Gorzowa do Berlina

Trzy pytania do Lecha Piaseckiego, byłego mistrza świata w kolarstwie

- W Gorzowie mamy dobrze rozwiniętą sieć ścieżek rowerowych?

- W porównaniu do miast podobnej wielkości jak nasze, Gorzów pozostał trochę w tyle z budową tych ścieżek. A te, które mamy, niestety, nie są najwyższych lotów. Problemem często jest ich nawierzchnia. Ścieżki z polbruku ładnie wyglądają, ale jazda po nich jest dużo bardziej utrudniona niż na asfaltowych. Trasy z kostki są dobre tylko dla rowerzystów wolno przemieszczających się, tych dojeżdżających do pracy lub traktujących jazdę na rowerze typowo turystycznie. Rowerzyści jeżdżący z większą prędkością muszą unikać polbruku, gdyż jest on niebezpieczny i łatwo nam nim uszkodzić cienkie opony, jakie stosuje się w rowerach do szybszej jazdy. Innym problemem są różne krawężniki. Ścieżki często są wąskie i zajęte przez spacerujących ludzi czy matki z wózkami. Przyznaję, że jak wsiałam na rower zawsze wybieram wyasfaltowaną drogę.

- W ubiegłym roku sporo mówiono o rozwoju tras rowerowych w Gorzowie, nasze miasto ma zostać podłączone nawet pod międzynarodowe ścieżki. Wierzy pan w rozwój infrastruktury rowerowej w naszym mieście?

- Mam akcję „wały dla rowerów”. Trudno liczyć, żeby na wałach ktoś położył asfalt, ale niech chociaż zostaną wyrównane trasy i pokryte odpowiednią nawierzchnią szutrową. Rowerami wyścigowymi jeździć na takim podłożu nie będzie można, ale zyskają ci, korzystający z rowerów górskich czy trekkingowych. Z kolei koncepcja połączenia istniejących już dróg z sąsiednimi gminami, a przede wszystkim wybudowanie w ramach EuroVelo kolejnych kilometrów ścieżek i włączenie ich ogólnoeuropejską sieć, to znakomity pomysł. Chyba wszystkim gorzowskim rowerzystom, mi również, marzy się, żebyśmy kiedyś mogli pojechać na swoich jednośladach na przykład do Berlina. A czy wierzę w ten rozwój? Chciałbym, żeby on nastąpił, ale wiadomo, że wiąże się to z ogromnymi nakładami finansowymi. Czy one się znajdą, tego nie jestem w stanie przewidzieć. Trzeba jednak działać w kierunku rozwoju turystyki rowerowej, gdyż ludzie coraz chętniej przesiadają się z aut na jednoślady.

- W ubiegłym roku polskie kolarstwo odniosło wiele spektakularnych sukcesów sportowych, z czego największym było zwycięstwo przez Michała Kwiatkowskiego złotego medalu w wyścigu elity na mistrzostwach świata. Niewiele pamięta, że to pan był pierwszym polskim mistrzem świata zawodowców, choć było to na torze. Pańskim zdaniem polskie kolarstwo już na dobre podniosło się z kolan?

- Jak w każdej dyscyplinie sportu, podobnie też w życiu, są wzloty i upadki. Polskie kolarstwo rzeczywiście przez wiele lat miało kłopoty z wypłynięciem na szersze wody, ale w tej chwili możemy mówić o okresie wzlotu. Nie wzięło się to z niczego. To wieloletnia praca całego środowiska, trenerów, a przede wszystkim samych zawodników. Dzisiaj tymi gwiazdami są Michał Kwiatkowski i Rafał Majka, ale proszę mi wierzyć, że za ich plecami znajduje się następna grupa bardzo utalentowanych i ambitnych kolarzy. Uważam, że przez najbliższe lata nasze kolarstwo będzie jeszcze rosło w siłę, ponieważ młodzi adepci tej dyscypliny, widząc obecne sukcesy, z jeszcze większą ochotą zaczynają trenować. To mi przypomina trochę czasy Adama Małysza. Kiedy zaczął wygrywać szybko pojawiła się kolejna grupa ambitnych skoczków i dzisiaj Małysz już nie skacze, ale sukcesy mamy nadal. W sporcie bardzo ważne są wzorce. Pamiętam, że trąfłem do kolarstwa pod wpływem sukcesów Ryszarda Szurkowskiego. Kiedy wygrałem Wyścig Pokoju i pierwszy raz zostałem mistrzem świata, natychmiast miałem mnóstwo naśladowców. Dlatego nie martwiłbym się o sukcesy, bardziej martwił mnie kłopoty klubów, które zajmują się szkoleniem. Wszędzie brakuje pieniędzy, sprzętu, ale może dzięki wspomnianym sukcesom również dla tego małego, klubowego kolarstwa zaświeci słońce.

RB



Fot. Robert Borowy

Stoje drewna są jak linie papilarne

Trzy pytania do Macieja Kowkiela, kolekcjonera i znawcy historycznej elektroniki

- W naszej kolekcji są urządzenia do zapisywania dźwięku, radiodiodobiorniki poczynając od tych pierwszych lampowych po odtwarzacze CD. Pierwsze mini dyski Sony, jak również fonografy wraz z zapisanymi wałkami. Oczywiście są gramofony i płyty z szelaku, m. in. z nagraniami Freda Astera. Rzeczy duże gabarytowo to radiole i szafy grające zwane radiomeblami. Są również głośniki kinowe z czasów filmu niemego. Spektrum sprzętu jest bardzo szerokie. Odbiorniki małe, duże tzw. radiomeble po urządzeniu z początku lat dziewięćdziesiątych, które już też stały się zabytkami. Jest bardzo dużo małych odbiorników tranzystorowych, radiomagnetonów z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Obok japońskich wiele produktów skandynawskich dosyć egzotycznych na polskim rynku. Obok pierwszych komputerów jest sprzęt telekomunikacyjny i to nie tylko w standardach NATO, ale również z NRD. Mieliśmy radiostacje z samolotu Liberator, ale odkupił ją człowiek specjalizujący się w renowacji samolotów.

- Większość urządzeń zachodnich producentów była po wojnie w Polsce nieosiągalna. Skąd pochodzą te eksponaty?

- Cała kolekcja pochodzi z Danii. Niektóre urządzenia z kolekcji były osiągalne tylko na rynku duńskim. Nawet w ówczesnym RFN, mimo wolnego rynku były one nieosiągalne. Mam np. zapytania z Londynu od kolekcjonerki poszukującej urządzeń firmy Bang and Olufsen. Mamy gramofony, radia i kolumny tej firmy, która nadal istnieje na rynku



Fot. Ryszard Romanowski

hi- endu, czyli najwyższej klasy sprzętu grającego. Wszystko to gromadził przez blisko pół wieku Henrik Kristensen. Obok domu miał wielką halę, prawdopodobnie specjalnie w tym celu zbudowaną. Po jego śmierci kolekcja trafiła do Gorzowa. Część sprzętu była po renowacji, część dopiero przygotowywana, a najlepsze urządzenia trzymał w domu. Dlatego są urządzenia działające i takie, które wymagają dużego nakładu pracy. Są to urządzenia ciekawe, nawet ze względu na samą obudowę. Jest to majstersztyk, ręczna robota i nie sposób często znaleźć identycznych obudów w odbornikach jednego typu. Stoje drewna są jak linie papilarne. Identyfikacyjnych nie da się znaleźć.

- Zaczyna się u nas moda na kolekcje zabytków. Jak ma się do tego historyczna radiotechnika?

-W Polsce jest ogromna grupa osób interesujących się historyczną radiotechniką. Kolekcję można oglądać długo i mówić o niej przez wiele godzin. To setki eksponatów. Dużo wiadomości zamieściłem na Facebooku, wystarczy w wyszukiwarce wpisać ton - tech.

RAR

Tak sobie siedzę, czytam i słucham ciekawych rzeczy

Trzy pytania do Janusza Gorzowskiego, który siedzi i opala się na Bulwarze Wschodnim w Gorzowie

- Co pan tu robi?

- Generalnie to sobie siedzę, gazetkę czytam, opalam się, obserwuję. Czasem do zdjęcia zapozuję. Patrzę na jeżdżące pociągi na estakadzie, bo jakieś plotki chodzą, że znów może nie będzie kasy na remont i ją zamkną. No i już pociągów nie będzie. Co prawda, inni zapewniają, że na pewno będą, ale nie bardzo w to wierzę, bo przecież idą wybory, może zmieni się rząd i wówczas mogą zmienić się też plany. Zresztą, czy ktoś wie jak to będzie po wyborach? Lepiej czy gorzej? Jakoś sobie tego nie wyobrażam, ale wszystko jest możliwe. Ale do zdjęć wracam. No po prawdzie, to lubię się fotografować. Ludzie te fotki do internetu wrzucają, stałem się sławny. No i dodam, że mi nie przeszkadza, jak ludzie robią nawet głupie miny przy tych fotografiach. Na razie jest OK., bo gorąc straszny na dworze, ale od

rzeki miły chłodek ciągnie, więc daję r a d ę . Całkiem miło się tak siedzi. Co prawda, nie wiem, jak to będzie jesienią i zimą, ale może szeryf miasta coś wymyśli i nie zamrzną na tym bulwarze. No i cały czas słucham, co to ludzie opowiadają, bo to ciekawsze nawet niż gazetka, którą czytam.

- No i co tam w trawie piszczy, znaczy co ludzie mówią?

- Ano piszczy, że generalnie ludziom się na razie podoba. Znaczy podobały się Dni Gorzowa, bo rzeka wróciła do ludzi, znaczy że wszystko działa się na bulwarach. Ale zaczy-



Fot. Stanisław Miklaszewski

nają też przebąkiwać, że jakoś miało być więcej i lepiej, a jest jak było. Nie podoba się ludziom, że nowy szeryf zatrudnił kolegów z Deszczna, jakby w mieście fachowców nie było. Usłyszałem nawet taką sentencję, że powtarza się sytuacja z 1975 roku, kiedy powstało województwo gorzowskie, to kadry fachowe też z ościennych gmin przyjechały. Krytykują plany jednopasmowej Kustrzyńskiej. Jakoś nie bardzo się ludziom podoba, że jak stare budynki stały i straszyły, tak nadal stoją i straszą. Ale to tak tylko podsłuchane jednym uchem. Bo jak się ze mną fotografują, albo tylko koło mnie przystają, to zadowoleni są ze zmiany. No w każdym razie tak mówią. Mówią też, że chyba po raz pierwszy tak wiele pomysłów wpłynęło do budżetu obywatelskiego, i to nie tylko na remonty dróg i chodników. W każdym razie jest

ciekawie. Nie powiem, na nudę nie narzekam.

- A skąd się pan tu wziął?

- A z poznańskiej pracowni dwóch artystek, Ewy Bone i Ewy Kozubal. Jestem ich rzecznikiem prasowym. Nad Wartę trąfłem natomiast w ramach projektu Genius Fluminis 2015 realizowanego przez Miejski Ośrodek Kultury, w którym chodzi o przywracanie rzeki mieszkańcom miasta. Obie artystki przy tworzeniu mojej skromnej postaci wzorowały się leciutko na bliskiej osobie jednej z nich. No i wyszło, jak wyszło, ale chyba nieźle, skoro mam na Facebooku własną stronę i lubi mnie prawie 2 tys. osób. I to w takim krótkim czasie. To już jest jakiś sukces. Aha, no i rzeczniczuję nadal, tyle tylko, że teraz przestrzeni miejskiej, bo niedawno załatwiłem z szeryfem kurtynę wodną, kiedy skwar stał się nie do zniesienia.

RENATA OCHWAT

Gorzów Wielkopolski znany z tego, że jeżdżą tam w lewo

Barszcz Sosnowskiego znowu wywołał wielkie poruszenie.

Także w mediach, gdzie przede wszystkim przebiła się informacja o śmiertelnej ofierze, która nie miała nawet fizycznego kontaktu z tą rośliną. W jednej ze znanych stacji telewizyjnych pewien znany dziennikarz, w związku z tą sprawą, raczył porozmawiać z jednym z gorzowskich lekarzy. Prezentując gościa błysnął jednak swą wiedzą i inteligencją mówiąc, że Gorzów

Wielkopolski leży oczywiście w Wielkopolsce.

Sprawa przeszła bez echa, a szkoda, bo to kolejny przyczynek do dyskusji o tym, czy Gorzów powinien mieć nadal w nazwie przymiotnik Wielkopolski. Od dawna twierdzą, że z Wielkopolską w nazwie powinniśmy się pożegnać jak najszybciej, bo to nam zwyczajnie szkodzi - wizerunkowo i biznesowo.

Aczkolwiek do Wielkopolski nie mam, ale Gorzów nie był i nie jest Wielkopolski i poza Wartą niewiele nas łączy. Ba, znacznie więcej nas dzieli.

Nie dosyć, że ten przymiotnik mylnie sytuuje nasze miasto w Polsce, to jeszcze deprecjonuje i degraduje w oczach mieszkańców kraju i świata. I złości mnie już wyjaśnianie ludziom w Polsce, że Gorzów

jest miastem wojewódzkim leżącym poza najszerzej nawet pojmowaną Wielkopolską. Niestety, często się zdarza, że wręcz mylą nasze miasto z Gorzowem Śląskiem. I wychodzi, że Śląski czy Wielkopolski, to i tak bez różnicy, bo to jakaś mała miejscina, znana głównie z tego, że jeżdżą tam tylko w lewo...

Dlatego podpisuję się obiema rękami pod postula-

tem tych, którzy proponują odciąć i wyrzucić Wielkopolskę z nazwy Gorzowa. I mnie także nie przekonują argumenty o kosztach, bo cała operację można przeprowadzić tak, by była jak najmniej uciążliwa dla gorzowian, przedsiębiorców i miasta. Zresztą, żeby zyskać, trzeba najpierw stracić, jak już kiedyś napisałem.

JAN DELIJEWSKI

Na zdrowy rozum nie ma tu miejsca

Jak dla mnie, to jest zwyczajny skandal i powód do wielkiej draki.

W gorzowskim szpitalu, w obiekcie na Walczaka, od ubiegłego roku stoi i czeka na pacjentów wyremontowany i nowocześnie wyposażony oddział dziennej rehabilitacji. Tymczasem pacjenci na rehabilitację zmuszeni są jeździć do szpitala w Międzyrzeczu i ośrodka w Gościmiu. Bo gorzowski szpital nie dostał kontraktu z Narodowego Funduszu Zdrowia. Gorzowskiej placówce zabrakło

punktów w konkursie na świadczenie usług dziennej rehabilitacji, gdyż czegoś było za mało, a placówek chętnych na kontrakty dużo.

Wszystko odbywa się zapewne zgodnie z przepisami, rozporządzeniami, wytycznymi i zalecaniami. Tylko co to obchodzi mieszkańców Gorzowa i okolic, w liczbie 150 tysięcy a może i więcej, z których całkiem sporo musi się rehabilitować. Tracą więc

czas, pieniądze i nerwy na dalekie i uciążliwe dojazdy, podczas gdy rehabilitacja mogłaby być całkiem blisko. I to jest ten właśnie skandal i powód do draki. Nie liczą się racje zdrowotne, społeczne i ekonomiczne pacjentów; liczą się procedury i kasa NFZ. Na zdrowy rozum nie ma tu miejsca. Dlatego miasto wojewódzkie w szpitalu wojewódzkim nie może mieć dziennej rehabilitacji.

Mocno się przy tym obawiam, że w najbliższych latach z kasą NFZ na różne świadczenia lecznicze i rehabilitacyjne nie tylko w Gorzowie może być jeszcze gorzej. Wszystko przez tak oczekiwaną i zachwalaną medycynę na Uniwersytecie Zielonogórskim i przekształcenie tamtejszego szpitala w placówkę medyczną o statusie kliniki. Przecież to oczywiste, że w tej lub innej formie NFZ będzie mu-

siał się do tego dołożyć, a środków na to nie przybędzie. Mało tego, jest przecież oczywiste, że po przekształceniu zielonogórskiego szpitala w klinikę, prędzej czy później powstanie tam nowy szpital miejski lub wojewódzki, do którego budowy i utrzymania trzeba będzie także dołożyć. No, ale wtedy Gorzów już będzie całkiem powiatowy.

Zdrowia życzę!

JAN DELIJEWSKI

Uczniowie okazali się bardziej dojrzały od wielu dorosłych

Dobrze, że mamy wakacje, czyli czas laby dla uczniów i nauczycieli oraz rodziców.

Tymczasem w ostatnich dniach roku szkolnego stała się rzecz niebywała i bulwersująca, z wielu powodów. Ojciec jednej z gimnazjalistek wpadł do szkoły na Piaskach i na oczach całej klasy pobił jednego z uczniów. Bo ten miał dokuczać jego córce. Na dodatek krewki rodzic poturbował interweniującą nauczycielkę.

Temat podchwyciły wszystkie media, często nie wnikając w szczegóły i okoliczności. Od

razu też tu i ówdzie pojawiły się komentarze na temat stanu polskiej szkoły. To prawda, że w szkole uczniowie nie tylko sobie dokuczają i biją się nawzajem, używają nagminnie i publicznie języka dalekiego od literackiego, nie stronią od używek i narkotyków, a na to wszystko wchodzi rodzice z buciorami i swoimi pięściami. Prawdą jest również to, że wszyscy dookoła zastanawiają się nad optymalnym modelem

nauczania zapominając o podstawach wychowania. Wychowania w domu, w szkole i na ulicy. Stary system szkolno-wychowawczy został zburzony, w to miejsce nie powstał właściwie żaden nowy, bo szkoła nie jest już od wychowywania dzieci i młodzieży. Szkoła stała się głównie i przede wszystkim miejscem edukacji. Ale czy to jest wina szkoły i nauczycieli, którzy w ostatnich latach w dużej mie-

rze zostali pozbawieni możliwości oddziaływania, którym zabrano narzędzia wychowawcze, odebrano autorytet i odarto z godności?

Prawdą jest jednak także i to, że w szkole dzieje się wiele dobrych i wspaniałych rzeczy, za sprawą znakomitych nauczycieli i wcale mądrych uczniów. Ale o tym mało się mówi, pisze, i pokazuje, bo to mało kogo interesuje. Dobro zwyczajnie się nie sprzedaje. I

przeciwko temu zaprotestowali sami uczniowie szkoły na Piaskach, którzy nie chcą być postrzegani przez pryzmat krzywo pokazywanej historii z pobiciem ucznia i poturbowaniem nauczycielki. W ten sposób okazali się bardziej dojrzały od wielu dorosłych i domorosłych komentatorów.

Dobrze, że mamy wakacje. To dobry czas na odpoczynek i przemyślenia.

LESZEK ZADROJĆ

KALENDARIUM Sierpień 2015

downiczy Międzyszkolnego Ośrodka Sportów Wodnych, zm. w 1999 r.

● 19.08.

1998 r. - podczas spotkania parlamentarzystów i wojewodów z Gorzowa i Zielonej Góry, w obecności biskupa A. Dyczkowskiego, w Gorzowie podpisano wspólną deklarację, w której opowiedziano się za równomiernym rozłożeniem kompetencji i odpowiedzialności pomiędzy obydwoma miastami-stolicami nowego regionu

● 20.08.

1946 r. - Szkoła Muzyczna zajęła budynek przy ul. Chrobrego 3, gdzie mieści się do dziś.

1937 r. ur. Edmund Migoś, żużlowiec, zawodnik Stali Gorzów, trzykrotny medalista MŚ, mistrz Polski z 1970 r., zm. w 2006 r.

1946 r. ur. Edward Jancarz, żużlowiec, zawodnik Stali Gorzów i Wimbledon, 12-krotny medalista MŚ, 11-krotny uczestnik IMŚ, dwukrotny mistrz Polski (1975 i 1983), trzykrotny zdobywca „Złotego Kasku”, zm. w wyniku zabójstwa w 1992 r.

● 21.08.

1998 r. - w odremontowanym pałacyku przy ul. Kazimierza Wielkiego odbyły się pierwsze śluby.

● 22.08.

1997 r. - dokonano napadu na oddział banku GBS przy ul. Małorolnych; łupem bandytów padło 100 tys. zł.

● 23.08.

1960 r. - oddano do użytku nową szkołę na Wieprzycach, dziś SP nr 12 przy ul. Dobrej.

1976 r. - do użytku oddano dwa nowe budynki szkolne; SP nr 9 przy ul. Nowej 7 i SP nr 11 przy ul. Stanisławskiego.

● 24.08.

1989 r. - „Ziemia Gorzowska” opublikowała list otwarty sierżanta sztab. Maraka Surmacza do obywatela Prezesa Rady Ministrów gen. broni Czesława Kiszczaka w sprawie nieprzestrzegania prawa przez funkcjonariuszy kierownictwa gorzowskiego WUSW.

1994 r. - Henryk Maciej Woźniak został prezydentem Gorzowa; swą funkcję pełnił do 15.06.1998 r.

● 25.08.

1989 r. - ks. Witold Andrzejewski został proboszczem parafii NP NMP przy ul. Mieszka I, ks. Eugeniusz Drzewiecki - parafii MB Różańcowej na Siedlicach; a ks. Władysław Pawlik - nowej parafii Pierwszych Polskich Męczenników na Górczynie.

2010 r. - mecenas Stanisław Żytkowski został honorowym obywatelem Gorzowa.

1915 r. ur. Otton Warda, ślusarz, pionier miasta i ZM „Gorzów”, działacz PPS, b. prezes Stali (1951), zm. w 1987 r.

● 26.08.

1989 r. - rozpoczął się I Międzynarodowy Przegląd Cygańskich Zespołów Pieśni i Tańca, obecnie „Romane Dyvesa”.

● 27.08.

2001 r. - Gorzów jako pierwsze miasto w kraju rozpoczął akcję

r e k l a m a

TONERY
ATRAMENTY
DRUKARKI
SERWIS

ZASTRZEŻONE NAZWY I ZNAKI TOWAROWE FIRM NALEŻĄ DO ODPowiedznych Właścicieli I STANOWIĄ ICH Własność. ZOSTAŁY UŻYTE WYŁĄCZNIE W CELACH INFORMACYJNYCH

- SKLEP INTERNETOWY 24H WWW.EBIS.PL
- PRODUKTY ORYGINALNE ORAZ ZAMIENNE Z GWARANCJĄ
- SPRZEDAŻ, SERWIS Drukarek I Kserokopiarek
- SKUP I REGENERACJA PUSTYCH TONERÓW I ATRAMENTÓW
- SKUTECZNIE ROZWIĄZUJEMY PROBLEMY Z DRUKOWANIEM

Gorzów, ul. Jana Dekerta 18 lok. 2, tel. 95 738 86 40, www.ebis.pl, e-mail: info@ebis.pl

KALENDARIUM
Sierpień 2015

znakowania psów przy pomocy identyfikatorów mikroprocesorowych, wszczepianych pod skórę

● 28.08.

1913 r. ur. Witold Karpyza, pionier Gorzowa, nestor gorzowskich nauczycieli i instruktorów harcerskich, podróżnik, rysownik, gawędziarz i pamiętnikarz, zm. w 2009 r.

● 30.08.

1959 r. - odbyły się pierwsze Mistrzostwa Gorzowa na żużlu; imprezę wygrał przebywający na urlopie wojskowym Bronisław Rogal z Legii, który jeżdżąc na Rotrax JAP-ie był klasą dla samego siebie i zdobył komplet punktów, drugie miejsce zajął Tadeusz Stercel, trzeci był Jerzy Flizkowski, na dalszych miejscach uplasowali się kolejno: Mieczysław Cichocki, Edmund Migoś, Edward Pilarczyk, Jerzy Padewski, Zdzisław Boniecki, Jan Stanisławski, Franciszek Słobodźan, Wojciech Jurasz i Bogdan Szafranski

1989 r. - w 4. rundzie (1/16 finału) Pucharu Polski Stilon Gorzów uległ na własnym boisku Ruchowi Chorzów i odpadł z rozgrywek; spotkanie obserwoowało ponad 10 tys. widzów. 2013 r. zm. Stanisław Wojciechowicz (78 l.), nauczyciel i działacz sportowy, nauczyciel wf w Technikum Ekonomicznym (1954-1955), następnie w Liceum Pedagogicznym i w II LO (1973-1977), pionier stilonowskiej siatkówki, pierwszy przewodniczący Wojewódzkiej Federacji Sportu, urzędujący wiceprzewodniczący WFS oraz ZO Szkolnych Zespołów Sportowych (1986-1990).

● 31.08.

1969 r. - rozebrany został zabytkowy Arsenal. 1982 r. - w rocznicę podpisania porozumień gdańskich w śródmieściu Gorzowa doszło do starć zwolenników „Solidarności” z milicją; oddziały ZOMO zaatakowały tłum, które zgromadził się przy katedrze; po spacyfikowaniu Starego Rynku walki przeniosły się na inne ulice miasta, na ul. Chrobrego i sąsiednich zbudowano kilka barakad.

1989 r. - w rocznicę Porozumień Sierpniowych na cmentarzu komunalnym odsłonięto pomnik na grobie Edwarda Borowskiego. 1992 r. - zarejestrowana została spółka Radio Gorzów, której pierwszy udziałowcami zostali kuria biskupia, wojewoda gorzowski, Urząd Miejski, Stowarzyszenie Rodzin Katolickich, Towarzystwo Przyjaciół KUL i osoby prywatne.

2002 r. - otwarte zostały ulice Piłsudskiego i Górczyńska, wzbogacone o drugie jezdnie, dwa ronda i dwa przejścia podziemne

1930 r. ur. Edmund Wadzyński, pionier gorzowskiego hokeja, budowniczy „Lostostilu”, zm. w 2013 r.

Tankował i odjeżdżał nie płacąc za paliwo

7 zarzutów usłyszał 40-letni gorzowianin, którego podejrzewa się o liczne kradzieże paliwa.

Mężczyzna podjeżdżał do stacji benzynowych, tankował auta oraz kanistry i odjeżdżał. Odpowie za swoje czyny, ale do aresztu już trafił. Był bowiem poszukiwany.

Początek incydentów związanych z nieuiszczeniem zapłaty za zatankowanie paliwa to wydarzenia, które miały miejsce między 1 a 3 czerwca. A było ich sześć. Mężczyzna podjeżdżał różnymi samochodami, na tablicach rejestracyjnych, które wcześniej były kradzione, tankował i odjeżdżał. I choć straty wynikające z kradzieży paliwa za każdym razem stanowiły wykroczenie, nie pozwoliło to uniknąć mężczyźnie odpowiedzialności karnej. Ta wynika z tego,

że policjanci z Witnicy przedstawili 40-latkowi zarzut kradzieży paliwa jako czyn ciągły. Podobna sytuacja miała miejsce 5 czerwca 2015 roku, w Kamieniu Małym. Zatankowane na 115 litrów auto kierowane przez nieznanego jeszcze wówczas mężczyznę odjeżdża z jednej ze stacji paliw. Ale kres darmowych tankowań przyszedł 23 czerwca, kiedy to po podobnym wyczynie bardzo szybko zareagował jeden z pracowników stacji. Jadąc za mężczyzną ujął go, przekazując policjantom. Ci rozpoczęli zbieranie materiału dowodowego świadczącego o tym, że to właśnie 40-latek jest odpowiedzialny za wszystkie kradzieże. Śled-

czy ustalali też, czy nie było ich więcej. Ich praca okazała się skuteczna. Dzięki umiętnym powiązaniu zdarzeń policjanci ustalili także, że zatrzymany odpowiedzialny jest także za kradzieże mające miejsce na terenie powiatu strzelecko - drezdeneckiego oraz gorzowskiego. Tym razem 40-latek podjeżdżał jednym samochodem. Był to dostawczy mercedes Vito na kradzionych numerach rejestracyjnych. 12 czerwca na stację paliw w Dobiegniewie podjechał kierowca. Ten raczej nie próbował ukrywać swojego wyglądu. Zanim zatankował próbował utargować niższą cenę za większą ilość paliwa. To był bluff, który miał powstrzymać pracowników

stacji przed podejrzeniami o tankowanie tak dużej ilości paliwa bez zapłaty. Do baku auta oraz przygotowanych baniaków mężczyzna tankuje 460 litrów paliwa. Odjeżdża nie płacąc. Niemal identyczne sytuacje powtarzają się jeszcze dwukrotnie. W Strzelcach Krajeńskich 18 czerwca zostaje skradzione paliwo w ilości 650 litrów, a dwa dni później w Gorzowie 600 litrów. Wartość strat przy tych trzech tankowaniach to blisko 8,5 tys. złotych.

Policjanci z Witnicy przedstawili podejrzanemu cztery zarzuty. Dwa związane z opisanymi kradzieżami paliwa, dwa kolejne to podrobienie podpisu oraz fałszywe oskarżenia. 40-latek recyto-

wał bowiem wcześniej wyuczone dane swojego brata na protokołach. Podając się za niego fałszował fakty oraz podpisy. Podczas dwóch kontroli drogowych przyjął mandat właśnie na dane swojego brata, podając się za niego i za niego podpisując. Dlatego odpowiedzialność 40-latek może się rozszerzyć o zarzuty związane z podrobieniem podpisu. Trzy kolejne zarzuty to już te ze Strzelca, Dobiegniewa i Gorzowa. Choć postępowania w tych sprawach wciąż trwają, 40-latek już trafił do Zakładu Karnego. Był bowiem poszukiwany do odbycia kary za inne przestępstwo. Grozi mu do 5 lat pozbawienia wolności. ■

„Błękitni rycerze” jadą zawsze bezpiecznie

Motocykliści z międzynarodowego klubu motorowego „Blue Knights Poland” promują bezpieczne zachowanie na drodze.

Klub „Błękitnych Rycerzy” zrzesza w swoich szeregach obecnych i emerytowanych policjantów, ale należą do niego również przedstawiciele innych służb mundurowych, czyli strażnicy graniczni, funkcjonariusze służby więziennej, sędziowie i prokuratorzy. Motocykliści oprócz promocji bezpieczeństwa, swoją nienaganną

postawą na drodze walczą ze stereotypem motocyklisty. Błękitni rycerze powtarzają, że jazda na motocyklu może być przyjemna bez brawury i bez nadmiernie odkręconej manetki gazu. Osoby chętne do wstąpienia do klubu proszone są o kontakt z Prezydentem Blue Knights Poland IX Krzysztofem Jankowskim tel. 668-

102-896 /północna część województwa: Gorzów Wlkp., Strzelce Kraj., Sulęcín, Międzyrzecz, ale również Choszczno i Barlinek/ oraz z Prezydentem Blue Knights Poland III Marcinem Szakoła tel. 661-199-417 /południowa część województwa: Zielona Góra, Świebodzin, Żary, Żagań, Nowa Sól, Wschowa/. ■

Grupa handlującą narkotykami rozpracowana

36 osób zatrzymanych, w tym trzy tymczasowo aresztowane i ponad 100 przedstawionych zarzutów.

To bilans kilkumiesięcznej wspólnej pracy strzeleckich policjantów i prokuratorów. Śledczy, pracując nad sprawą, zabezpieczyli również ponad 600 gram narkotyków, o czarnorynkowej wartości kilkudziesięciu tysięcy złotych. Dzięki temu na rynek nie trafiło około tysiąca porcji narkotyków.

Policjanci rozpoczęli prace nad sprawą jeszcze w 2014 roku. W październiku ubiegłego roku zatrzymano w tej sprawie dwóch mężczyzn, przy których policjanci znaleźli prawie pół kilograma narkotyków. Wówczas sąd wobec nich zastosował tymczasowy areszt. Czynności policjantów nadzoruje Prokuratura Rejonowa w Strzelcach Krajeńskich. Wspólne działania pozwoliły na wytypowanie 36 osób podejrzanych, spośród których trzech zostało tymczasowo aresztowanych. Wszystkie osoby podejrzane to mieszkańcy powiatu strzelecko-drezdeneckiego. Śledczy przedstawili im ponad 100 zarzutów: wprowadzania i



W sprawie zatrzymano 36 osób, którym przedstawiono ponad 100 zarzutów.

posiadania znacznej ilości narkotyków, osiągnięcia z tego procederu korzyści majątkowej. Wśród ponad 600 gram zabezpieczonych narkotyków była min. marihuana, haszysz i extasy. Oprócz narkotyków zabezpieczono również gotówkę i telefony komórkowe osób podejrzanych. W trakcie prowadzonego śledztwa zabezpieczono również, na poczet przyszłych kar, mienie o wartości 240 tys. złotych. Dotychczas skierowano do sądu akty oskarżenia dotyczące 13 osób podejrzanych, które dobrowolnie podały się karze. Wszystkim grozi nawet do 12 lat więzienia. ■

Nocny włamywacz w areszcie

22-letni gorzowianin zatrzymany przez policjantów z I Komisariatu Policji w Gorzowie.

Policjanci z Komisariatu I Policji w Gorzowie na początku maja otrzymali sygnał o włamaniu do auta zaparkowanego przy ul. Wybickiego w Gorzowie. Sprawca wybijając szybę w vw golfie zabrał pozostawioną w środku torebkę. Wraz z nią dokumenty, pieniądze oraz perfumy. Wartość skradzionych przedmiotów wyceniono na blisko tys. złotych. Kiedy policjanci pracowali nad tą sprawą, na ul. Zygalskiego zgłaszano kolejne włamania. 12 czerwca z kancelarii adwokackiej przy ul. Łokietka znikną laptop, a pięć dni później na 30

Stycznia ze sklepu ginie kilka paczek papierosów, alkohol oraz artykuły spożywcze.

Włamywacz próbując utrudnić organom ścigania swoją pracę, działa pod osłoną nocy. Choć początkowo nic nie wskazywało, że zaistniałe zdarzenia można ze sobą łączyć, to doświadczenie kryminalnych z I Komisariatu Policji szybko pozwoliło stwierdzić, że za włamaniami stoi ten sam sprawca. Wykonane przez policjantów w procesie wykryczym czynności operacyjne pozwoliły na wytypowanie, a następnie zatrzymanie

mężczyzny odpowiedzialnego za te przestępstwa. Już 22 czerwca policjanci nałożyli młodemu mężczyźnie kajdanki. Ten zatrzymaniem był bardzo zaskoczony. Następnego dnia 22 - letni gorzowianin usłyszał zarzuty związane z kradzieżą z włamaniem. Przedstawiony przez policjantów materiał dowodowy nie pozostawiał wątpliwości nawet na samym włamywaczu. Przyznał się zatem do wszystkich włamań. Kodeks karny w takich przypadkach przewiduje karę do 10 lat pozbawienia wolności. ■

Murale najlepszym sposobem na graficiarzy

Zabazgrane mury denerwują mieszkańców, bo zwyczajnie szpecą i nie tylko.

Zamalowywanie tych bazgrołów bowiem pochłania pieniądze, które można by przeznaczyć na poważniejsze remonty. W ADM nr 5 wymyślono sposób jak uniknąć napisów, a jednocześnie ożywić peerelowskie blokowisko.

Realizacje wizji architektów i urbanistów nie zawsze okazują się ponadczasowe. Często po latach sprawiają nieefektywne, a nawet przygnębiające wrażenie, potęgowane zniszczeniami wywołanymi upływem czasu. Mimo nakładów na efektowne i kolorowe elewacje trudno poprawić złe wrażenie, ponieważ nowe farby błyskawicznie zostają pokryte napisami wykonanymi farbą w aerozolu. Rzadko udaje im się dotrzeć w czystości do dwóch miesięcy od pomalowania. Domorośli twórcy niby murali dzielą się z nami swoimi opiniami o klubach sportowych, inteligencji kolegów lub własnych uczuciach do przedstawicieli odmiennej płci. Czyszczenie i zamalowywanie napisów jest nie tylko kosztowne, ale również nieskuteczne. Błyskawicznie pojawiają się znowu, a ich twórców nie odstrasza groźba dotkliwych kar. Sposób na to znaleziono w ADM 5. Odkryto, że tzw. graficyarze mają swoją



Graficyarze mają zasady: nie malują na dziełach innych graficyarzy.

etykę polegającą m.in. na tym, że nie maluje się na dziełach innych graficyarzy. Pierwsze murale powstały na wyremontowanych elewacjach domu przy ul. 11 listopada oraz u zbiegu ulic Jancarza i Sikorskiego.

- Zrealizowaliśmy projekt z panem Przemkiem

Szydłowskim pokrywając mury kolorowymi, wesołymi postaciami. Efektem jest to, że wjeżdżając autobusem do Gorzowa nie rzucają się już w oczy wspaniałe, pseudo sportowe hasła a kolorowe, ładne obrazy na murach wokół dworca PKS. Minął już rok od ich po-

wstania i nikt nie próbował obrazów tych zamalować - mówi kierownik ADM Damian Madaliński, dodając że są w Gorzowie murale istniejące bez śladów obcej ingerencji są od trzech lat.

Powstał podobny projekt dotyczący osiedla Słonecznego. Tym razem zakres

będzie większy. Obecnie niemal wszystkie ściany szczytowe budynków są zabazgrane farbami. Ściany ośmiu budynków zostaną pomalowane. Tym razem obrazy tworzyć będą wzajemnie powiązane historyjki. Fabułę będzie można śledzić przechodząc od jednej ściany do następnej. Historyjki z każdego budynku będą ze sobą powiązane. Ściany zostały już pomierzone i niebawem Przemysław Szydłowski przedstawi projekt obrazów.

- Budynek, w którym mieści się klub Zodiak i biblioteka wygląda tragicznie z każdej strony. Chcemy pomalować go tak, aby obrazy były związane z tym co dzieje się wewnątrz. Koszty muralu w porównaniu ze zwykłym malowaniem są wyższe o około 20 proc. Efekt jest zupełnie inny, a jeżeli graficyarze uszanują naszą pracę, to trwałość muralu okaże się kilkakrotnie większa - mówi kierownik.

Prace nad muralami rozpoczną się już na przełomie lipca i sierpnia i obejmą budynki czterech wspólnot mieszkaniowych, które z radością je zaakceptowały i z ciekawością oczekują na realizację projektu.

RAR

Radni przyjęli sprawozdanie ZGM za rok 2014

Podczas ostatniej sesji rady miasta przyjęto sprawozdanie z działalności Zakładu Gospodarki Mieszkaniowej za rok 2014.

A był to bardzo pracowity rok, gdyż obok typowych działań rozpoczęto realizację programu pilotażowego KAWKA, mającego na celu usunięcie niskiej emisji a wartego 65 mln zł.

ZGM zarządza 232 budynkami stanowiącymi własność gminy, 919 wspólnot mieszkaniowych z udziałem gminy, 58 budynkami wspólnot w formie zleconej, czyli bez udziału gminy oraz reprezentuje gminę w 63 budynkach. W minionym roku odbywały się remonty i modernizacje na kwotę 4 883 937 zł. Dokonano rozbiórek

wartych 636 905 zł. Przeprowadzono 383 procedury zamówień publicznych, a Biuro Zamiany Mieszkań dokonało 20 wymian. W ramach realizacji budżetu obywatelskiego wykonano plac zabaw w kwartale ulic Krzywoustego, Chrobrego, Armii Polskiej i Borowskiego za kwotę 49 454, 61 zł. To tylko wybrane elementy z długiego sprawozdania za ubiegły rok.

- Rok 2014 nie był łatwy, ale okazał się dla nas bardzo pozytywny. Myślę, że ten rok będzie jeszcze lepszy - mówi dyrektor ZGM Paweł Jakubowski.

W tym roku rozpoczęły się, poprzedzone przetargami, prace przy realizacji programu KAWKA na terenie Nowego Miasta. Dobitnie świadczą o tym kontenery pełne gruzu i starych kafli z rozbieranych pieców. Czasu nie ma zbyt wiele, bo zakończenie inwestycji przewidziano na rok 2017.

- Chyba największym naszym problemem jest zadłużenie. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że część naszych zasobów zasiedlana jest przez najemców bardzo słabych finansowo, którzy nie mogli

by nigdzie indziej zdobyć mieszkania - mówi dyrektor P. Jakubowski. I dodaje, że szeroki wachlarz środków mających na celu odzyskanie długów w ponad 90 proc. przynosi efekty. Środki te, to przede wszystkim rozmowy i rozkładanie długu na raty. Ciekawą ofertą jest też tzw. realizacja świadczeń wzajemnych. Polega ona na możliwości odpracowania długów przez użytkowników mieszkań wchodzących w skład zasobu miasta, a będących w trudnej sytuacji materialnej i życiowej. Jeżeli

wszystkie środki zawiódą sprawy kierowane są do sądu, który podejmuje ostateczne decyzje, wysyła komorników lub wydaje wyroki eksmisji.

- Najgorzej jest z osobami, które nie mają żadnych dochodów ani mienia ruchomego, mogącego zainteresować komornika. Zastanawiamy się jak rozwiązywać takie sytuacje - mówi dyrektor.

Eksmisje to ostateczność. W ubiegłym roku zewnętrzna firma zrealizowała ich piętnaście.

RAR



Adresy

Zakład Gospodarki Mieszkaniowej
ul. Wełniany Rynek 3
66-400 Gorzów Wlkp.
tel. (095) 73-87-101,
73-87-102
biuro@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl

Program Realizacji Świadczeń Wzajemnych pomaga tym, którzy nie są w stanie spłacić zaległych należności. Więcej na
zgm.gorzow.pl/odpracujdlug/
tel. (095) 73-87-125
odpracujdlug@zgm.gorzow.pl

Biuro Zamiany Mieszkań
ul. Wawrzyniaka 4
tel. (095) 73-87-129,
(095) 73-62-100
bzm@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/zamianamieszkania/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 1
ul. Wyszyńskiego 38
tel. (095) 73-87-139,
73-87-142, 73-87-145
adm1@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm1/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 2
ul. Towarowa 6A
(budynek przychodni I p.)
tel. (095) 73-87-151,
73-87-155, 73-87-156
adm2@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm2/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 3
ul. Armii Polskiej 29
tel. (095) 73-87-162,
73-87-165, 73-87-176
adm3@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm3/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 4
ul. Drzymały 10
tel. (095) 73-87-180,
73-87-182 do 184, 73-87-186
adm4@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm4/

Administracja Domów Mieszkalnych nr 5
ul. Gwiaździsta 4
66-400 Gorzów Wlkp.
tel. (95) 73-87-203 do 205,
73-87-209 do 211
fax (95) 73-87-213
adm5@zgm.gorzow.pl
zgm.gorzow.pl/adm5/

...MOJE CZASY •



Tłuste misie

W PRL miś był biały, nieszczęśliwy i miał w oczach szare łzy. Przyszła transformacja i na neoliberalnym kapitalizmie miś się utuczył. Na tłustego misia, nie wiedzieć czemu, zasadził się wnuk Henryka Sienkiewicza, Bartłomiej. Miś znalazł jednak rzesze obrońców, a ci mogli na Sienkiewicu dymisję z polityki. Niewiele czasu minęło i niespodziewanie zanoszą się na polowanie na „tłuste misie”. Bo nie spinają się obietnice wyborcze Polskiej Zjednoczonej Prawicy (PZP...). Jak biednym się doda to odjąć trzeba bogatym.

Służyć ma temu wyższa ściągłość podatków. Gromkie zapowiedzi likwidacji szarej strefy towarzyszą naszym wyborom od 1991 r., przy równoczesnym odsądzaniu od czci i wiary skarbowników. Nie nowina to, gdyż przed 1939 r. sekwestratorzy, czyli urzędnicy skarbowi, byli „postrachem ludności”.

Podatków nie lubimy płacić. To nasza tradycja. W praktyce wolność szlachecka, rozumiana była m.in. jako wolność od opodatkowania. Dlatego też nie używano terminu podatek, lecz „ofiara wieczysta”, chcąc podkreślić dobrowolność daniny. Kazimierz Wielki „zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną” tylko dzięki fiskalizmowi. Musiał więc być „opresyjny” i „nieprzyjazny” względem ówczesnych podatników. Współcześnie władza ma być jednak i przyjazna i bezwzględna w ściąganiu podatków. No cudów nie ma, zmienić trzeba będzie system kontroli skarbowych i ich częstotliwość, co przytomnie zauważyła Premier Ewa Kopacz. W Stanach Zjednoczonych IRS (organ skarbowy)

przed przystąpieniem do kontroli dokonuje wstępnej selekcji. Wybiera takich podatników, u których istnieje prawdopodobieństwo uzyskania dużego przypisu. Celuje w „tłustych misiów”, a małym odpuszcza. Przekonał się o tym m.in. Al Capone.

Nasz poniżany aparat podatkowy wkrótce może się stać zakładnikiem obietnic opozycji. I będzie miał przeciw sobie coraz gorsze prawo, bo prawo niejasne to woda na młyn podatnika. Jest wątpliwość – jego racja. Zamiast ściągłości, uszczuplenie.

Z niepłaceniem i wyludzaniem podatku VAT, od lat nie radzi sobie Europa. PIS ma patent jak to zrobić - dostępnymi środkami – odpowiada rezolutnie nowy rzecznik prasowy sztabu wyborczego PIS, poseł Mastalerek.

A nadrapać trzeba z 50 mld. Pójdzie łatwo, bo ponoć polskie społeczeństwo chce, by system ściągania podatków był szczelniejszy. Czyżby?

Mówi się, że u nas VAT nie przyjął się w budownictwie. Znaczna część tego sektora podatku po prostu nie płaci. Są zapewne jakieś luki w prawie, kombinacje z różnicami stawek oraz brak rejestracji części produkcji materiałów budowlanych. Jest propozycja wpisania przepisu, że każdy budujący dom czy remontujący mieszkanie będzie musiał przez kilka lat przechowywać faktury VAT - dowód legalnego nabycia materiałów budowlanych. Nielegalne nabycie ma być karane. Inny pomysł to „lotne” kontrole przed hurtowniami w celu sprawdzenia, czy kupujący mają faktury VAT. Jesteśmy za?

Generalnie nic nie mamy przeciwko kontrolom skarbowym, pod warunkiem, że są prowadzone u sąsiada, a nie u mnie. Tłuste misie mogą spać spokojnie.

WOJCIECH SZCZEPANOWSKI

...MOJE IRYTACJE I FASCYNACJE •



Jest tablica na kościele

Parafianie oraz wychowankowie ufundowali tablicę pamiątkową poświęconą wybitnemu proboszczowi, ś.p. Witoldowi Andrzejewskiemu. Bez krzyków, bez wrzasków, bez hysterii, a jednak można. Udało się tym razem coś bardzo dobrego. Na kościele przy ul. Mieszka I, w parafii, którą do swej śmierci administrował ksiądz Witold Andrzejewski, zawisła prosta elegancka tablica ze stosownym napisem. Można? Jak się chce, to można. No i znakomicie się stało, bo komu, jak komu, ale księdzu Witoldowi takie upamiętnienie się

należało. Może był apodyktyczny, szorstki, mówił, co myślał, ale przede wszystkim był wybitnie odważnym, prawym człowiekiem. Ja go kochałam. I dlatego bardzo się cieszę, że komuś się chciało.

Może teraz przyszedł czas na monografię, choć jak wiadomo światli urzędnicy tego miasta nie widzą potrzeby wydawania takich książek, książek poświęconych Honorowym Obywatelom, bo nie jest to zadanie miasta, że zacytuję, to jednak myślę, że zwykli mieszkańcy chcieliby poczytać właśnie o takich ludziach. Dodam tylko, że na tablicy nie zabrakło także przypomnienia słynnego przydomku – Szef, jakim do końca życia nazywali księdza jego wychowankowie z Duszpasterstwa Akademickiego.

RENATA OCHWAT

...OSTATNI PRZY STOLIKU NR 1 •



Mam cholernie mało czasu

Ktoś ważny napisał mi, że największą zasługą Wójcickiego jest to, że „tchnął nowego ducha w miasto i mieszkańców”. I ja się z tym zgadzam. Tylko że gdzieś tam w głębi coś mi kołocze, że coś jest nie tak.

No bo czy trzeba było popełniać tyle błędów? Nie można było tych zmian przeprowadzić bardziej elegancko, bez używania siekiery i bez drażnienia społeczeństwa? Czy Janusz Dreczka to dopiero co się objawił zrzędzeniem stwórcy? Czy powszechnie uznane za dyskusyjne ruchy kadrowe nie przysłaniają trochę dokonania mądrych i oczekiwanych? Czy generalne i widoczne sprzątanie miasta nie staje się „zadymą” mającą przysłonić podejrzane decyzje personalne związane z sekretarzem miasta? Czy spełnienie oczekiwań akceptowanych społecznie musi być podszyte z lekka szemraniami interesikami? Nie wiem. Za to wiem, że przekazanie willi Jaehnego na instytut naukowy poświęcony Romom, to mądra decyzja. Dzięki temu wieloletnia obecność Cyganów w naszym mieście, ale i w Polsce doczeka się znaczącego dowartościowania. Przy wsparciu takich autorytetów jak dr Rymar może instytut błyszczeć na cały kraj. O nominacji Janusza Dreczki trudno mi pisać, bo to z kolei mój znajomy i kolega. Znam jego możliwości, znam jego predyspozycje i wiem co potrafi. Nie wiedziałem tylko, że taki odważny jest. Dla mnie najważniejsza jest jego wrażliwość. I pracowitość. I chyba wiem, od czego zacznie i co w końcu „doprowadzi do końca”. Jezu!

Nie mogę być zbyt miły, bo to odrzuci stałych moich czytelników. Muszę się też przyznać, że mam problem. Nie mogę do końca roz-

szyfrować tego, co zarządza moim miastem. No bo poważnie podejrzewany o to prezydent Wójcicki z ujmującym uśmiechem, z lekką zdziwionego dziecka (w zastępstwie można wybrać „rozkapryszonego”) przyznaje wszystkim rację i robi swoje. Robi to „swoje”, które natychmiast jest „obsobaczone” przez kogo się da, ze mną na czele. Ale jakoś mu idzie i jak tak pomyśleć logicznie, to swoje racje to on ma. Woli pracować z tymi których docenia i szanuje. Ja też bym wolał i paru znajomych upierdliwców także. Obsadza nimi stanowiska i ja bym też tak robił. Większość wspomnianych „zgredów” także. Prawdopodobnie jednak robili by to mądrzej. Może mają dłuższą praktykę? Dręczy mnie tylko jedna kwestia. Straszna. A może oni, ci nowi, ustawieni na stanowiska, są dobrzy? Ta młodzież, której wielu nie lubi z powodu ich młodości, nie jest głupia. Obok parszywców wyłonionych w zawodach „szczurów” są to ludzie, którzy tak jak my kiedyś, siadają przy ognisku z gitarą, czytają wiersze i łażą po górach. Pokończyli szkoły i mają pewność swoich racji. Może z nimi jest tak jak z dziećmi, których kolorowe obrazki zachwycają znawców i estetów. Są kolorowe i piękne, bo dzieci nie mają zahamowań z położeniem kolorów. Ich jeszcze nikt nie przestraszył, że ten kolor obok tego, to „brzydko”.

Rozmawiając z tymi młodymi, co do władzy się rwą pomyślałem z zazdrością - jacy oni odważni! Na pewno są mało doświadczeni, często bezczelni, ale odważni są też. Trudno, trzeba poczekać. W zasadzie zdrów ci ja i rześki. Na spływ kajakowy, to już trochę mi trudno wypłynąć i trzy razy ze śpiwora na mokrą od rosy trawę w nocy wychodzić. Przed komputerem jednak z jaskiem za krzyżem jeszcze trochę mogę poczekać. Jakby się dało, to może by tak prezydent Wójcicki ze swoją ekipą trochę przyspieszył. Mam cholernie mało czasu.

PIOTR STEBLIN KAMIŃSKI

...PATRZĘ NA MOJE MIASTO •



Konieczne są inwestycje

Na „początku” 25 lat temu...

wszystko było regulowane. Rodzaj sklepu, zakładu usługowego, godziny otwarcia. Wnioskowało się do urzędu, a tam urzędnicy w miarę możliwości realizowali oczekiwania mieszkańców. Jasne, że wszystko było własnością państwową lub spółdzielczą, z małymi wyjątkami. To były czasy niedoborów, więc nie było problemów pustych lokali, stojących i drażniących mieszkańców. Nawet nie wiem, jak czynsze ustalano. Chyba były rzeczą wtórną do potrzeb.

Po starcie nowego.

Wybuch przedsiębiorczości. Lokale w centrum sprzedawały się jak świeże bułeczki. Handel straganowy panował w centrum miasta i tam, gdzie się dało coś zarobić. Działalność usługowa i handlowa kwitła. Stawki za wynajem 1m powierzchni sięgały ponad 100 zł. Lokale mieszkalne na parterach budynków przekształcano w usługowo-handlowe.

Było tak, że podwyższaliśmy.

Miasto nie nadążało z podwyższaniem stawek za wynajem lokali komunalnych. Ciągłe trzeba było negocjować ich wysokości, więc wprowadzono stały mechanizm podwyższania. Była inflacja, ale był popyt, więc można było zarobić.

Nowe inwestycje.

Hipermarkety, sieci handlowe i wolny rynek zmieniły wiele. Każda inwestycja traktowana była jak zwiastun zachodniej cywilizacji. Jakiegokolwiek uwagi dotyczące lokalizacji nowego hipermarketu traktowane były jako przejaw zacofania. Domaganie się oceny wpływu tych inwestycji na funkcjonalnie miasta odbierano jako działanie przeciw. Radni potrafili przegłosować zmianę planu zagospodarowania dopuszczającego lokalizację hipermarketu na prywatnej działce, pomimo iż miasto dysponowało ogromnym obszarem na tego rodzaju funkcje.

Teraz jest tak, że obniżamy.

Obniżenie stawek wywoławczych stosowanych na przetargach na lokale komunalne jest raczej oznaką zaakceptowania upadku centrum miasta. Skutkiem zaniedbań, braku inwestycji, pomysłu na centrum Gorzowa. Nie jest sposobem na jego ożywienie. Chyba, że ja czegoś nie rozumiem? Stawki trzeba obniżyć, gdy na coś nie ma popytu. Nie chodzi o krytykę, to racjonalne zachowanie, ale niezmierzające do poprawy obecnego przygnębiającego stanu rzeczy.

Jak będzie?

Czy Gorzów zainwestuje w centrum? Modernizację i rozbudowę urzędu w centrum miasta oraz opracowanie koncepcji ożywienia przylegających kwartałów zabudowy, zainwestuje w obszar dawnego szpitala na Warszawskiej, zmodernizuje Chrobrego, Mieszka I, Kazimierza Wielkiego i przylegające ulice, zrewitalizuje parki, wykozysta tereny wzdłuż Kłodawki na funkcje rekreacyjno-sportowe, zagospodaruje skwery przy zabytkowych murach obronnych, zrobi coś ze Schodami donikąd i uroklivym wzgórzem, przeprowadzi rewitalizację zasobów mieszkaniowych, odtworzy zdegradowaną infrastrukturę. Bez inwestycji miejskich, ale też bez tworzenia warunków dla inwestycji prywatnych, przyciągnięcia deweloperów do centrum niewiele się zmieni. Jeżeli, jak to kiedyś napisałem, w centrum miasta nie staną dźwigi i nie pojawią się inwestorzy Gorzów pozostanie miastem upadłym. Możemy się cieszyć Bulwarem nad Wartą, ale konieczne są dalsze inwestycje. Widać dobre chęci i mamy do dyspozycji środki ujemne drugiej perspektywy. Nie zmarnujemy tej szansy.

MIROSŁAW RAWA

Blogi na echogorzowa.pl

Na portalu echogorzowa.pl swoje blogi prowadzi wielu znanych gorzowian. Oprócz tych zaprezentowanych tutaj pisze także wielu innych. Oczywiście pisać może każdy, kto tylko ma coś do powiedzenia, przekazania innym. Zainteresowanych prowadzeniem bloga na naszym portalu prosimy o kontakt z redakcją, po wcześniejszym zapoznaniu się z regulaminem portalu.

REDAKCJA

...RACJE, AKCJE I REAKCJE •



Tęsknota za Biedroniem

Ostatnie wybory samorządowe przyniosły wiele niespodzianek. Dotychczasowi „wieczni” prezydenci decyzją wyborców zostali odesłani w polityczny niebyt. Wśród niespodziewanych prezydentów znalazł się i nasz Jacek Wójcicki, który zmiądzzył pełniącego od 16 lat funkcję prezydenta Tadeusza Jędrzejczaka. Jednak największą sensację w jesiennych wyborach sprawił Robert Biedroń, który został prezydentem Słupska.

Jego wyczyn był o tyle niespodziewany, że to człowiek absolutnie z zewnątrz, a wyborcy zwykle nie lubią takich pretendentów określając ich mianem kandydatów przywiezionych w teczce. Zastanawiam się także nad tym, na ile wpływ na decyzje wyborcze miała orientacja seksualna Roberta Biedronia i czy wbrew powszechnym opiniom nie odegrała ona pozytywnej roli przy podejmowaniu decyzji przy urnie wyborczej. Być może ludzie wybrali go głosując przy okazji przeciwko nietolerancji, ciemnocie i obskurantyzmowi.

Robert Biedroń po objęciu urzędu stał się ulubieńcem mediów, a jego działania i przyjęty styl zarządzania miastem daleko odbiegający od obowiązujących standardów, przysporzył mu sporej popularności nie tylko w samym Słupsku, ale i w całej Polsce.

Wynika to także i z tego, że trafił on na urząd prezydenta miasta borykającego się z ogromnymi problemami, dlatego też każda jego decyzja przyczyniająca się do poprawy sytuacji miasta i jego mieszkańców wywoływała wielki odzew i najczęściej spotykała się z powszechnym uznaniem. Co prawda niektóre z jego działań to populizm w najczystszej postaci, jak choćby prezydenckie zarządzenie o rezygnacji z zakupu wody do picia na potrzeby magistratu. Oszczędności osiągnięte z tego tytułu były niewątpliwie niewielkie, ale społeczne uznanie dla gospodarskiej postawy prezydenta ogromne. Biedroń co chwile demonstrował znakomitą umiejętność odczytywania nastrojów i oczekiwań społeczeństwa Słupska; a to zlikwidował kilka wysokopłatnych stanowisk w miejskich strukturach i spółkach, a to nie wypłacił nagród rocznych prezesom spółek tłumacząc to trudną sytuacją miejskiej kasy, a to do urzędu przyjeżdżał rowerem, a nie służbową limuzyną, a to kazał zdjąć ze ściany portret Jana Pawła II. Wszystkie te kroki niewątpliwie miały charakter działań pod publiczkę, ale zamierzony efekt osiągnęły. Jeśli do tego dołączyć naturalną dla Roberta Biedronia otwartość i łatwość w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi, a także sporą skuteczność w rozwiązywaniu miejskich problemów możliwą m.in. dzięki temu, że swobodnie porusza się po warszawskich salonach władzy dzięki kontaktom nawiązanym w

czasie posłowania do sejmu, to odbiór jego prezydentury jest bardzo pozytywny.

Nic więc dziwnego, że na Słupsk skierowane są zazdrosne spojrzenia mieszkańców wielu polskich miast, a niektórzy prezydenci czy burmistrzowie starają się bardziej lub mniej udolnie naśladować Roberta Biedronia, czasem wręcz kopiując jego decyzje. Tak stało się choćby ze słynnym na całą Polskę zakazem wstępu do Słupska cyrku z uzasadnieniem, iż w cyrkach męczy się zwierzęta. Zaraz objawili się kolejni prezydenci, którzy nie życzyli sobie cyrkowych popisów w swoich miastach. Tyle, że to czysty epigonizm, żeby nie powiedzieć dosadniej.

Porównanie działań Roberta Biedronia z własnymi włodarzami miast jest czymś normalnym i naturalnym, tym bardziej, że wprowadził on do samorządowej polityki powiew świeżości i nowości. Siłą rzeczy dochodzi więc i do nieuniknionych porównań Jacka Wójcickiego z prezydentem Słupska, tym bardziej, że wydawać by się mogło, że więcej ich łączy niż dzieli. Są przedstawicielami tego samego pokolenia, ludźmi spoza lokalnych układów, całkiem nowi w środowisku, w jakim się znaleźli, rozumiejący siłę mediów i politycznego marketingu.

Dlaczego więc gołym okiem widać różnicę w ich dokonaniach i sposobie społecznego odbioru. Niewątpliwie wpływ na to miała różna pozycja w momencie startu, Biedroń wcześniej był znanym na całą Polskę parlamentarzystą ze sporym dorobkiem. Wójcicki był tylko popularnym w swym lokalnym środowisku wójtem niewielkiej podgorzowskiej gminy, który zdziałał wiele dla jej rozwoju. Biedroń nie miał żadnych doświadczeń samorządowych, co okazało się jego siłą, Wójcicki w samorządzie lokalnym pracuje już kilka ładnych lat, co oznacza, że wypracował sobie już sprawdzone metody działania, ma swoje przyzwyczajenia i nawyki. Biedroniowi nie brakuje odwagi w podejmowaniu decyzji, bo też i Słupsk wydaje się traktować jak kolejny etap w swojej karierze, już teraz mówi się o nim, jako kandydacie lewicy w wyborach na prezydenta RP. Jacek Wójcicki natomiast wydaje się traktować prezydenturę Gorzowa, jako swoistą misję, kto wie, czy nie najważniejszą w jego życiu. Stąd większa ostrożność i rozważa wynikająca z politycznych kalkulacji obliczonych na dłuższy dystans czasowy. Wbrew oczekiwaniom okazał się także człowiekiem jednak wmontowanym w określone układy polityczne i osobowe, ograniczającym się w swych decyzjach personalnych do znanych sobie osób i środowisk, za bardzo ceniącym sobie osobiste emocje i stosunki (ów słynny brak chemii). Wydaje się także, iż wybór na swego osobistego doradcę człowieka spoza Gorzowa, niezbyt dobrze wynajętego się w miejscowych realiach to jednak spory błąd. Z niego wynikają nie do końca trafne odczytywanie nastrojów gorzowian i ich oczekiwań.

Na koniec kilka uwag o zakończonych właśnie Dniach Gorzowa. Były one niewątpliwym sukcesem prezydenta Jacka Wójcickiego i ekipy przygotowującą tę imprezę. Przez trzy dni miasto tętniło młodzieńczą energią, w miejscach imprez pojawiło się tysiące gorzowian. Sam natykałem się co krok na dawno niewidzianych znajomych. Raz jeszcze potwierdziła się stara prawda, że naród pragnie igrzysk.

Nie byłbym sobą gdybym do tej beczki miodu nie dołożył jednak kilku łyżek dziegciu. Jako człowiek trochę doświadczony różnymi opresjami zastanawiam się nad tym, czy organizatorzy byli przygotowani na wariant złej pogody. Przypuszczam bowiem, że gdyby spadł deszcz to ocena tej imprezy już by nie była taka euforyczna. Imprezy plenerowe zawsze są obciążone sporym ryzykiem, tym razem się udało, ale nie zawsze będziemy mieć takie szczęście, dzięki któremu te kasandryczne przepowiednie o nieuniknionej klęsce koncertu na nadwarciańskich łęgach okazały się chybione.

Po wtóre, gorzowskiej imprezie nie udało się uniknąć piknikowo-festynowej sztampy, gdzie dymiące grille, piwo w sporych ilościach oraz nie zawsze najwyższego lotu koncerty pod chmurką stanowiły najważniejsze wydarzenia. zabrakło mi choćby jednego elementu, który wyróżniałby nasze gorzowskie święto od innych tego rodzaju eventów, tak jak winobraniowy korowód, krakowski lajkonik, czy sądeckie palmy wielkanocne, a nawet deszczynieńskie kurczaki. Lokalny Nobel dla tego, kto wymyśli coś, o czym będzie mówiła cała Polska.

Rozmach imprezy zadziwił, ale wynika on przede wszystkim z o wiele większych niż dotychczas środków finansowych przeznaczonych na ten cel. Na Dni Gorzowa można by ściągnąć przecież nawet Rolling Stonsów gdyby tylko odpowiednio im za to zapłacić. Trudno więc uznać za sukces fakt, że przez trzy dni na obu scenach wystąpiło sporo gwiazd ku uciesze licznej publiki, skoro kosztowało nas to prawie pół miliona wysupłanych z miejskiej kasy. Sukcesem będzie to, co zapowiadał prezydent Wójcicki, że przyszłe Dni Gorzowa będą finansowane głównie z pieniędzy sponsorów, tylko w niewielkiej części wspieranych środkami budżetowymi.

Jeżeli tak się stanie to wówczas miejskie świętowanie będzie jakby lepiej smakować.

Godnym podkreślenia jest osobisty udział prezydenta Wójcickiego w pracach organizacyjnych Dni Gorzowa, wszędzie go było pełno, wszystko osobiście nadzorował i dopilnowywał.

A nadwarciański bulwar wybudowany przez prezydenta Jędrzejczaka jeszcze raz świetnie się sprawdził, jako wymarzone miejsce do takich imprez. Nie byłoby tego sukcesu, gdyby nie było bulwaru.

JERZY KUŁACZKOWSKI

...Z MIŁOŚCI DO MIASTA •



Zaczyna żyć też Zawarcie

Rozmach i różnorodność Dni Gorzowa niemal zwaliły mnie z nóg - z podziwu oczywiście. I w sobotę i w niedzielę brałem udział w części imprez, a pozostałych brała udział moja nastoletnia córka, a więc mam spostrzeżenia dwóch różnych pokoleń. Czy impreza była potrzebna? Ależ oczywiście. I to nie tylko dla czystej przyjemności korzystania z koncertów, imprez plenerowych i tak dalej. Ona była niezbędna dla cementowania tożsamości mieszkańców miasta, których przez nadwarciańskie bulwary i błonia przewinęło się kilkadziesiąt tysięcy. Tego nie było jeszcze nigdy. Gorzów nie ma starówki, rynku a nawet centrum z prawdziwego zdarzenia, ale ma za to Wartę, która przez ostatnich pięćdziesiąt lat była zapomniana, zaniedbana i niezbyt chciana. Okazało się, że rzeka ma takie możliwości, jakich nie daje nawet najpiękniejsza starówka czy rynek i jest czymś, czego nie ma i nigdy nie będzie miała miła naszemu sercu Zielona Góra. Najpiękniejsze dla mnie było nie to, że każdy mógł posłuchać muzyki, jakiej lubi – jedni discopolowego „Weekendu”, inni członka zespołu „Genesis”, inni barda „Piwnicy pod Baranami Jacka Wójcickiego czy operetkowej diwy Grażyny Brodzińskiej, a jeszcze inni, młodszy „Zakopowera” czy „Grubszej strony rabarbaru”. Okazało się, że żyć mogą nie tylko oba bulwary na prawym brzegu Warty, ale też bulwary na jej brzegu lewym. Wystarczyło je uporządkować, wyciąć krzaki i zbędne samosiejki, wyrównać trawę i mamy zupełnie przyzwoity brzeg, podatny do stałego użytku.

Wreszcie zaczyna żyć też Zawarcie. Mają tam stadion żużlowy, największą w mieście galerię handlową, a teraz mieszkańcy tej dzielnicy przekonali się, że można mieć swój własny brzeg rzeki, podatny do piknikowego i nie tylko używania. To też wskazuje, że warto kontynuować inwestycje po obu brzegach rzeki – z jednej strony przedłużyć bulwar do Mostu Lubuskiego, a z drugiej nadać lewemu brzegowi bardziej nowoczesny charakter i poczynić choćby małe inwestycje w infrastrukturę.

Dla mnie największym sukcesem Dni Gorzowa jest właśnie to, że przywróciliśmy rzekę miastu i jego mieszkańcom. Zabrakło mi tylko jednego – jakiejś ciekawej imprezy wodnej. Mam w tej kwestii taki oto pomysł. Raz w roku nad Tamizę w Londynie przychodzą setki tysięcy widzów, aby obejrzeć tradycyjne regaty Oxford – Cambridge. Tak jest od 1829 r. i nikomu się nie znudziło. Na naszej Warcie można by rozgrywać w trakcie dni miasta regaty Gorzów – Zielona Góra - też wioślarskich ósemek. Wydawać by się mogło, że mielibyśmy pewną przewagę – wszak u nas są wyczynowi wioślarze, a w Zielonej Górze klubu wioślarskiego nie ma, ale tam są tysiące studentów, z których wielu trenowało wcześniej wioślarstwo – również w Gorzowie. Aby wyrównać szanse można by wprowadzić formułę handicapową – każde miasto mogłoby skorzystać z instytucji gościa i tak na przykład czterech spośród ośmiu zawodników mogłoby zostać przez każde miasto wynajętych tylko na te zawody z całego świata, a tylko reszta musiałaby mieć zamieszkanie w naszych obu miastach, albo być z nimi związana w inny sposób – to tylko kwestia odpowiedniego regulaminu. Może z czasem takie regaty na trasie Most w Santoku – Most Staromiejski stałyby się gorzowskim wyróżnikiem goniącym regaty londyńskie?

JERZY SYNOWIEC

...FREDNOŚĆ I PRZECHERA •



A – z ogonkiem

Trzeba błąd ten piętnować, wręcz wytypić jak stonkę: niepoprawną wymowę samogłoski „z ogonkiem”, lat czterdzieści z okładem, gdy u władzy był Gierek, polonista w liceum tępił taką manierę.

Mnie do dziś krew zalewa, to katorga, to kaźnia, kiedy słyszę na mieście: tramwaj znowu się spażnia, wielu ludzi się spieszy i do pracy nie zdanza, A ja wtedy się tylko w niemej złości pograżam.

Także gdy przez komórkę, jakiś facio lub pańcia, prosi kogoś półgłosem: proszę się nie wylanczać! Babcia w skromnym mieszkaniu gdy się program zakańcza, bierze w rękę pilota, telewizor wylancza.

Dzisiaj na nic uwagi wiekowego lingwisty, to nie błąd, lecz reguła, bo już mówią tak wszyscy. Jestem całkiem bezsilny, wołę się już nie wtrącać, macham ręką po prostu i tak wiersz swój zakańczam.

FERDYNAND GŁODZIK

r e k l a m a

www.echogorzowa.pl

519 462 660

Trzeba zależeć tylko sposoby finansowania

Z Januszem Dreczką, wiceprezydentem Gorzowa do spraw społecznych, kulturalnych i sportowych, rozmawia Renata Ochwat

- Co pana skłoniło do przyjęcia propozycji prezydenta Jacka Wójcickiego, aby zostać jego zastępcą?

- Propozycja była zaskakująca, ale jednocześnie i ciekawa. A skoro mieszkam w tym mieście, to dlaczego nie.

- Zamienił pan wygodny gabinet w Urzędzie Wojewódzkim na gabinet w magistracie...

- Niczego nie zamieniałem. Po prostu skończyłem pewną pracę w wydziale zdrowia urzędu wojewódzkiego, której efektem jest raport o zabezpieczeniu zdrowotnym województwa lubuskiego, który został zaprezentowany na konwencie województwa. No i wtedy pojawiła się ta propozycja. Po drugie, ja pracowałem przy przygotowaniu reformy samorządowej prof. Michała Kuleszy, kiedy rodziła się idea samorządowości, a propozycja dawała mi wgląd w to, jak to funkcjonuje na poziomie miasta, gminy.

- I jakie wnioski?

- Minęło kilkanaście lat i już wiem, że ta reforma była słuszną. Dziś samorząd jest podstawą funkcjonowania państwa. Między innymi dzięki kontroli społecznej nad administracją, bo w istocie tak jest. Proszę pamiętać, że administracja jest po to, aby pracować ze społeczeństwem, a społeczeństwo po to, aby kontrolować. Pamiętam, jak na początku lat 90. spierałem się z ówczesnym dyrektorem Muzeum Lubuskiego Zdzisławem Linkowskim o kształt zmian samorządowych, bo on miał inne zdanie, to dziś jestem zupełnie pewien, że to był krok w dobrą stronę. Może nie każdy szczebel administracji się sprawdził tak, jakbyśmy sobie życzyli, ale jednak generalnie się udało. Proszę pamiętać, że samorządy wojewódzkie dostały ogromne pieniądze i nie wszędzie dysponowanie nimi udaje się tak, jakby wszyscy oczekiwali, ale generalnie reforma się nam udało. Inna sprawa, że samorządny niższego szczebla muszą być bardziej aktywne przy zabieganiu o pieniądze na różną działalność. Bo celem podstawowym dla nich powinno być kreowanie najlepszych warunków do życia ich mieszkańców. I ja między innymi tak pojmuję moją misję w urzędzie.



Fot. Stanisław Mikaszeński

Janusz Dreczka, urodził się 7 stycznia 1958 roku w Gorzowie. Absolwent I LO oraz AWF w Gorzowie. Skończył podyplomowe studia z zakresu prawa i administracji UAM w Poznaniu. Pracował min. jako nauczyciel w w Zespole Szkół Budowlanych, był zastępcą dyrektora w SP 21, dyrektorem wydziału infrastruktury społecznej Gorzowskiego Urzędu Wojewódzkiego, dyrektorem szpitala w Torzymiu i dyrektorem wydziału zdrowia w LUW. Aktywnie zaangażowany w życie sportowe i kulturalne miasta. Poeta. Żona Małgorzata, mają dwóch dorosłych synów Jakuba i Jacka.

- Rozpoznał już pan podstawowe bolączki?

- Nie ma bolączek.

- No to może potrzeby.

- Potrzeby rozpoznaję przez rozmowy. Okazuje się, że niektóre sprawy, niektóre problemy jakby się oderwały od rzeczywistości. A ja chciałbym, aby pewne rzeczy się zbiegły, stały się oczywiste. Od pierwszych dni w urzędzie moja praca polega na nieustannych konferencjach, poza biurem. Rozmawiam z dyrektorami podległych mi wydziałów, z ludźmi. Zresztą moje pierwsze zetknięcie się z ludźmi to było spotkanie w Zespole Szkół Technicznych i Ogólnokształcących przy ul. Czerwieńowej. Tam się kończył taki projekt dotyczący mniejszości narodowych. I tam już pojawił się pierwszy problem do rozwiązania. Okazało się, że brakuje miejsc w internatach szkolnych dla uczniów, którzy muszą szukać kwater gdzieś na mieście. A brak miejsc w internatach nie wynika z faktu, że ich jest rzeczywiście za mało, tylko z tego, że mieszczą się tam różne instytucje około edukacyjne. A tak być nie powinno, bo pierwszeństwo powinien mieć uczeń. Podobne potrzeby można będzie zauważyć także i w innych instytucjach, do których zamierzam dotrzeć. Zresztą byłem już w Teatrze Osterwy, w Filharmonii Gorzowskiej i innych. No i przy różnych spotkaniach wy-

szedł kolejny problem. Mamy w mieście stypendia twórcze dla uzdolnionych artystów. Ale jak się okazuje, są one przeznaczone dla ludzi w wieku określonym przez regulamin. A przecież dzieło może wyjść z rąk nawet kilkuletniego dziecka. Taki Chopin dla przykładu komponował bardzo wcześnie.

- Ale takich Chopinów czy Mozartów to jednak na palcach jednej ręki można policzyć...

- Fakt, ale chodzi o to, aby umieć te dzieci wyłuskać i umieć ich wesprzeć. Zresztą o zasadności zmiany regulaminu stypendiów twórczych mówiła pani dr Ewa Pawlak, dyrektor wydziału kultury. Będziemy się nad tą kwestią zastanawiać.

- Skoro przy kulturze jesteśmy, to jak pan ocenia pejzaż gorzowskiej kultury po dość drastycznych cięciach, jakie jej ostatnio zastosowano?

- Trzeba zacząć od tego, że po reformie wojewódzkiej w 1975 roku próbowaliśmy nadrobić zapóźnienia cywilizacyjne miasta w stosunku do innych stolic wojewódzkich. To wówczas powstała Szkoła Muzyczna I stopnia przy ul. Teatralnej, Liceum Plastyczne, lokalna telewizja, Radio Gorzów, które miało 60 procent słuchalności. Wówczas ukazywał się nieistniejący tygodnik „Ziemia Gorzowska”. Był nawet pomysł, aby ukazywała się lokalna popołudniówka,

jak w innych miastach. Nie udało się, ale też i system informacji, jej udostępniania się zmienił, dziś informacja ukazuje się natychmiast, funkcjonują takie media, jak choćby EchoGorzowa.pl. Zmieniła się rzeczywistość.

No i tak samo z kulturą się stało. No i chyba tak powinno być. Bo zmieniły się formy działalności w kulturze. I na tym polega rola samorządu, aby słuchał potrzeb i reagował na nie. Zarówno na potrzeby samych instytucji, jak i mieszkańców, bo on po to jest.

- I stąd pomysł na Instytut Papuszy, nową jakość w gorzowskiej kulturze?

- Ten pomysł zaczął się tworzyć wcześniej, ale dopiero prezydent Jacek Wójcicki podjął decyzję, że można go umieścić w willi Jaehnego przy ul. Kosynierów Gdyrskich. Można mieć wątpliwości, czy uda się pomysł wcielić w życie jeszcze za tej kadencji rządu, za kadencji ministra Andrzeja Halickiego. Jednak sama idea, do której włączyło się środowisko naukowców z Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej to już jest coś. Trzeba pamiętać, że idea urodziła się w Stowarzyszeniu Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej im. Papuszy, które od siedmiu lat robi Wigiłię Narodów oraz prowadzi działalność edukacyjną i kulturalną. Warto tu przypomnieć, że jeszcze za czasów ministra kultury Bogdana

Zdrojewskiego toczyły się rozmowy, aby Ternu nadać status Narodowego Teatru, czyli instytucji państwowej. Nie udało się, co nie znaczy, że w przyszłości może się udać. Problemy trzeba rozwiązywać.

- Panie prezydencie, w mieście w pewnych środowiskach słyszy się, że należy Filharmonię Gorzowską zlikwidować.

- Nic takiego nie słyszałem.

- Ale naprawdę tak co niektórzy uważają...

- Trzeba pamiętać, że to miasto przez długi czas nie miało dostępu do realizacji swoich marzeń. Oczywiście mogę żałować, że decyzja o FG została podjęta w taki sposób i w takim stylu. Ale instytucja jest. Byłoby owszem rewelacyjnie, gdyby była to instytucja marszałkowska i to jest bardzo dobry przykład na niefunkcjonalność właściwą urzędowi marszałkowskiego, samorządu województwa, bo samorząd ten zwyczajnie zapomina, iż w lubuskim są dwa subregiony, północny i południowy i powinna być zachowana zasada parytetu. A tego nie ma. No cóż, mówienie o likwidacji FG to nieporozumienie. Trzeba zależeć tylko sposoby finansowania.

Proszę zwrócić uwagę, ile za ostatnich 20 lat w mieście udało się jednak zrobić. Powstała Scena Letnia, z którą należą się głębokie ukłony dyrektorowi Janowi Tomaszewiczowi, bo nikt przed nim nie podjął tego wysiłku. Przez ponad 50 lat Związek Ukraińców urządza konkursy pisankowe, odbywają się Spotkania z Kulturą Łemkowską, jesienią gorzowscy Tatarzy obchodzą 70-lecie swojej obecności w mieście. Nikt raczej nie myśli o likwidacji akurat tych inicjatyw. No i są jeszcze inne sukcesy...

- Dla przykładu?

- Choćby współpraca między Frankfurt a Gorzowem, która zaowocowała książką „Gorzów Landsberg Frankfurt. Historia, która nas łączy”. Dość przypomnieć to, co uczynił Zdzisław Morawski, nawiązując współpracę z Niemcami. A Karin Wolf, tłumaczka, która ma na koncie nie tylko tłumaczenia wielkich polskich pisarzy, ale także poezję Kazimierza Furmana, prozę Romy Kaszczyca, prowadzenie salonów literackich. Tego też nikt nie zamierza zapomnieć, a co

więcej, trzeba koniecznie o to zadbać.

- Ale pan ma się zajmować nie tylko kulturą, także sportem. Tak też widzi pan potrzebę?

- Owszem, dla przykładu chcę się przyjrzeć, jak działa Słowianka i jak się ona ma do rozwoju sportów związanych z wodą, a w których gorzowianie mają naprawdę niezły dorobek. Inna rzecz, był taki moment, że w Gorzowie aż 12 różnych drużyn w różnych dziedzinach sportu grało w I lidze. Być może jest to obecnie zbyt duże zadanie, jak na możliwości Gorzowa, ale trzeba się temu przyjrzeć.

- Wielu ludzi jest przekonanych, że sport powszechny w mieście nie istnieje, bo nie ma pieniędzy, a jak nie ma pieniędzy, to nie ma na szkolenie, jak nie ma szkolenia, nie ma wyników, a jak nie ma wyników, nie ma pieniędzy. No i błędne koło się zamyka.

- Prawda. Ale jest kilka różnych sposobów finansowania sportu. Fakt, budżet miasta jest jednym z nich. Ale można sięgnąć po środki ministerialne czy z budżetu województwa. Trzeba się przyjrzeć, jak funkcjonuje ten system, na ile racjonalnie te pieniądze są pozyskiwane. Skoro uczestniczymy w tym systemie, to należy sprawdzić, jak on funkcjonuje i starać się o pieniądze zewnętrzne.

- Kolejną olbrzymią działką, jaką pan będzie zawiadywał, jest sfera pomocy społecznej... A to już są duże wymagania.

- Proszę pamiętać, że tylu, ilu nas jest, tyle mamy spraw społecznych. Bo każdy z nas ma prawo do mieszkania, do dostępu do sportu, kultury, służby zdrowia, godnego życia i do samodzielności, która nie powinna się przekładać na samotność. Tu znów wróć do reformy prof. Kuleszy, która zagwarantowała nam wszystkim udział w wyborach bezpośrednich, każdy z nas wybiera sobie swoją władzę, która powinna mu zapewnić komfort życia. Nie możemy się odwracać od tych, którzy opieki potrzebują, ale bez naruszania ich wolności.(...)

czytaj

cała rozmowa na
www.echogorzowa.pl

Trzeba mieć pomysł na siebie w takim mieście, jak Gorzów

Z Cezarym Żołyńskim, aktorem gorzowskiego Teatru Osterwy, reżyserem i pisarzem sztuk dla dzieci, rozmawia Renata Ochwat

- Czy w Gorzowie da się żyć z grania w teatrze?

- Generalnie się nie da żyć z grania w teatrze w mieście typu Gorzów czy nawet w takim Poznaniu lub Wrocławiu.

- We Wrocławiu?

- No pewnie, że nie. Nawet w takim Wrocławiu. Jak się pracuje w teatrze, to trzeba dorabiać. I to ważne zastrzeżenie. Mówię o pracy tylko w teatrze. I powtórzę, że nie da rady, czy to będzie Płock, czy to będzie Legnica, Elbląg, Koszalin, Tarnów... Można wymienić mnóstwo miejscowości, ale wszędzie jest tak samo. Nie ma takiej możliwości, aby z teatralnej gaży spokojnie żyć. A wynika to z prostego faktu.

- Jakiego?

- Nikogo obecnie sztuka nie interesuje. Mam na myśli ludzi, którzy są odpowiedzialni za podział pieniędzy, czyli władze. Bo władza zaczyna się interesować teatrem czy innymi sztukami tylko wtedy, kiedy są wybory. Wtedy ludzie władzy pokazują się w teatrach, wtedy są zainteresowani sztuką. Zwyczajnie decydenci i politycy grzeją się przy artystach. A kiedy wyborów nie ma, to obcinają dotację i to najlepiej aktorom, bo aktorzy przecież nie wyjdą strajkować na ulice. Na te ulice wyjdą górniczy, rolnicy, ale nie aktorzy, bo i z czym? Z maską, z marionetką? No i mamy proste przełożenie, że zupełnie nie ma znaczenia, jak bardzo dyrekcja teatru walczy o swój teatr, bo nie znam żadnego szefa, który chciałby zamknięcia swego teatru, bo i tak wszystko, znaczy poziom dotacji zależy od tych, którzy te pieniądze dzielą, czyli od władzy. A jak nie ma pieniędzy, to zwyczajnie nie da się zrobić sztuki. Bo nie da się zrobić spektaklu za złotówkę lub za darmo. Jak nie ma pieniędzy, to dyrekcja może zrobić jedno. Obciąć gażę za spektakl, obciąć koszty scenografii, muzyki do spektaklu, innych kosztów. I nagle się okaże, że robimy teatr z niczego, ze szmatki i sznurka. Ale to już nie będzie teatr. Takie błędne koło.

- To w Gorzowie aktorzy mogą sobie dorobić do gaży?

- Da się, oczywiście. Choć ja nie mówię tylko o Gorzowie.

- Ale reżyseruje pan poza Gorzowem...

- Naturalnie, ale tak akurat wyszło, że poza miastem. I nie chodzi o to, że ja nie chcę tego robić tu, ale tak się składa, że propozycje pracy przychodzą spoza miasta. I cały czas są to spektakle dla dzieci, bo już nie chcę się bawić w teatr dla dorosłych. Może jeszcze kiedyś gdzieś zrobię spektakl muzyczny, nie musicalowy, tylko muzyczny. Chodzą za mną takie pomysły łączące się z moim ulubionym wykonawcą, czyli Leonardem Cohenem. Ale nie ma też takiego wielkiego parcia, aby to robić na już.

- To z czego żyją aktorzy w takim mieście jak Gorzów, skoro gaża jest za mała?

- Mogę mówić tylko o sobie. Ja robię trochę różnych dodatkowych rzeczy poza tylko graniem w teatrze. Kiedyś tam zainwestowałem w



Cezary Żołyński urodził się 26 maja 1964 roku w Wałbrzychu. Absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu. Od 1994 roku związany z Teatrem Osterwy. Gorzowie zagrał w kilkudziesięciu przedstawieniach. Uznanie zdobył także jako reżyser przedstawień dla dzieci, w których też grał, a do wielu przygotował również scenografię. Reżyseruje głównie poza Gorzowem. Zagrał epizody w serialach telewizyjnych: Pierwsza miłość (2004), Fala zbrodni (2004) i Warto kochać (2005), a w 2009 roku jedną z ról w filmie fabularnym pt. Gwiazdy w czerni. W 2006 roku został uhonorowany nagrodą Pierścienia Melpomeny dla najlepszego aktora gorzowskiego. Miłośnik filmowej sagi fantastycznej „Gwiezdne Wojny”. Jest żonaty, dorosły syn Michał jest także aktorem.

siebie i teraz w całej Polsce reżyseruję. Choć papierów na scenografię nie ma, to jednak i to też robię. Piszę jakieś teksty, prowadzę jakieś imprezy, dodatkowe spektakle. Zwyczajnie trzeba dorobić w różnych miejscach, w których można. Dorabia się na normalne życie.

- To w Gorzowie aktorzy mogą sobie dorobić do gaży?

- Da się, oczywiście. Choć ja nie mówię tylko o Gorzowie.

- Ale reżyseruje pan poza Gorzowem...

- Naturalnie, ale tak akurat wyszło, że poza miastem. I nie chodzi o to, że ja nie chcę tego robić tu, ale tak się składa, że propozycje pracy przychodzą spoza miasta. I cały czas są to spektakle dla dzieci, bo już nie chcę się bawić w teatr dla dorosłych. Może jeszcze kiedyś gdzieś zrobię spektakl muzyczny, nie musicalowy, tylko muzyczny. Chodzą za mną takie pomysły łączące się z moim ulubionym wykonawcą, czyli Leonardem Cohenem. Ale nie ma też takiego wielkiego parcia, aby to robić na już.

- No to wróćmy do teatru gorzowskiego, ostatnio pan wyreżyserował tu...

- „Czerwonego Kapturka”, a jeśli chodzi o inne spektakle dla dzieci, to dyrektor Jan Tomaszewicz zrobił „Królową Śniegu”, zresztą sukces wystawienniczy, a Beata

Chorążykiewicz „Tajemniczy turban”, więc mamy całkiem sporą ofertę dla najmłodszych. Prawdopodobnie w czerwcu, z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka będzie kolejna bajka. Prawdopodobnie będzie kontynuowana scena lalkowa. Nie jest aż tak kiepsko, jeśli chodzi o najmłodszych.

- A dla dorosłych?

- Nie zajmuję się teatrem dla dorosłych. Tylko gram w spektaklach, bo to mój zawód. Programy układa kto inny. Ja tylko myślę, że lepiej jest przygotować spektakl muzyczny, bo takie lekkie, łatwe i przyjemne zwyczajnie prościej się sprzedaje. Widzów więcej na taki spektakl przyjdzie. Bo trzeba ratować budżet, bo teatr ma małą dotację i nikt nie wie, dlaczego aż taka mała...

- Mniejsza niż teatr w Zielonej Górze?

- Dokładnie tak. Co jest w naszym przypadku zdumiewające, bo chyba jesteśmy jedynym teatrem w Polsce, który nie ma długów. I chyba właśnie za to jesteśmy karani, a inne teatry są nagradzane. Mniejsza dotacja przekłada się przede wszystkim na jakość sztuk. No bo jeśli mamy dobrego reżysera, dobrego scenografa, dobrego muzyka i tak dalej, to wszystko razem kosztuje. I to sporo. I jak się ma takie a nie inne pieniądze, to się zaczyna redukować koszty. A widza, który chce obejrzeć

dobry spektakl, takie dylematy nie interesują. Widzi te wszystkie oszczędności... Niestety, teatr nie znosi kompromisów, i wszystkie te kompromisy są widoczne jak na dłoni. Choć są takie sztuki, gdzie za całą scenografię wystarczą trzy krzesła, jak to zrobił warszawski Teatr Polonia. Ale to musi być świadomy zabieg reżyserski, a nie łatanie, bo na nic nie ma pieniędzy. Nasz teatr chce teraz wystawić „Makbeta” Szekspira, ale tegoż „Makbeta” zwyczajnie nie da się zrobić na trzech krzesłach. No i trzeba też pamiętać, że dobre nazwiska, w sensie reżyserzy, mają określone stawki, poniżej których nie schodzą. A od tych nazwisk też zależy, czy widzowie przyjdą... No i dlatego też mamy takie a nie inne spektakle, bo mamy tyle pieniędzy, ile mamy.

- Czy właśnie to, finanse, nie powodują czasem prowincjonalnego charakteru...

- Nie. Prowincjonalny charakter czegokolwiek to my sobie w głowie stwarzamy. A wracając jeszcze do pieniędzy, to mnie pewna sytuacja zwyczajnie dziwi. Bo mamy w województwie dwa równorzędne teatry, no i jeden jest traktowany lepiej od drugiego, w sensie finansowym znaczy. Podobna historia ma zresztą miejsce w województwie warmińsko-mazurskim

czy kujawsko-pomorskim. Nie rozumiem tego.

- A nie myślał pan, żeby zwyczajnie wyjechać z Gorzowa?

- Nie. Mnie tu jest dobrze. Zresztą ja wyjeżdżam co jakiś czas. Jeżdżę do innych miast, gdzie sobie realizuję swoje rzeczy. Bo oprócz teatru są moje „Gwiezdne wojny” i dzięki nim jeżdżę w różne miejsca, nawet gdzieś tam za granicę. Tu, znaczy w Gorzowie, mam fajnych chłopaków, z którymi gram w siatkę i mam to szczęście, że jestem aktorem, więc tolerują moje błędy na boisku. Wyjeżdżam na narty. Tak więc raczej nie mam zamiaru się stąd ruszać.

- Jest pan rozpoznawany na ulicach?

- Jestem. Właśnie sobie załatwiłem szybszą wizytę u lekarza. Kolejka sięga trzech miesięcy, a mnie się udało i za dwa tygodnie trafię do specjalisty.

- Czyli z jednej strony jest walka o życie, a z drugiej to życie ten zawód ułatwia?

- Dokładnie tak. Ale myślę, że to nie tylko u nas tak jest. Każdy gdzieś tam walczy i coś sobie ułatwia. To chyba norma.

- Gdyby panu przyszło raz jeszcze wybierać, to zostałby pan znów aktorem i wybrał Gorzów?

- Aktorstwo tak. Co do Gorzowa, szczerze powiem, nie wiem. Jak ja zaczynałem, to były trochę inne warunki, inne czasy. Gdybym teraz zaczynał, to pewnie starałbym się zacząć w większym mieście. Bo w takich miejscach są jakieś filmy, można zagrać w serialu. Bo twarz serialowa ma jednak większą siłę przebicia. Ale jest jak jest. Mieszkam w Gorzowie tu pracuję. Piszę też sztuki i tu się pochwalę, że nasza wspólna, znaczy moja i pani Iwony Kusiak bajka „Inne kaczątko” będzie tłumaczona na bułgarski i znajdzie się w antologii sztuk współczesnych dla dzieci wydanej w Bułgarii. I to są fajne momenty w życiu aktora, który nie tylko gra, ale jeszcze robi inne rzeczy.

- Czyli jak ktoś jest aktorem i ma pomysł na siebie, to spokojnie może żyć w Gorzowie.

- Ależ oczywiście. Ważny jest ten warunek - pomysł na siebie. Natomiast nie każdy aktor umie robić te różne do-

datkowe rzeczy i nie należy zresztą tego od każdego aktora wymagać. Bo bywa, że aktor potrafi znakomicie grać, ale nie umie kompletnie załatwić sobie dodatkowej pracy, wtedy już zaczyna być kiepsko. No i powtórzę kolejny raz, to, że aktorzy kiepsko, nawet bardzo kiepsko zarabiają, to jest wina decydentów, tych, którzy stanowią prawo. Bo gdy brakuje pieniędzy na cokolwiek w budżecie, to zawsze się obcina dotacje na kulturę. Proszę zwrócić uwagę na to, że „Ida” dostała Oscara. Już widzę kolejki polityków zapraszających twórców na śniadania i inne. A wcześniej nikt kompletnie nie chciał wesprzeć tego projektu. Teraz fetować reżysera i aktorów będą wszyscy. Taka polska hipokryzja. Teraz wszyscy będą się zachwycać wielką sztuką, bo ktoś powiedział, że to wielka sztuka jest. A w Warszawie nikt nie widzi takich środowisk, jak Gorzów, Płock, Olsztyn czy Kalisz, choć te teatry nierzadko mają lepszy repertuar niż sceny warszawskie. Ale tego nikt nie chce zobaczyć, nawet lokalni politycy, którzy nigdy palca nie zagięli, aby promować czy pomóc wypromować lokalną scenę gdzieś tam. Oni nawet nie pomyśleli o tym. A do teatru przychodzą jedynie przed wyborami.

- Sumując, trzeba wypracować takie mechanizmy, aby aktor godnie zarabiał za swoją pracę. A takie mechanizmy można stworzyć tylko na szczęblu państwa.

- Dokładnie tak. A dzieje się odwrotnie. Nagle zostały zmniejszone stawki wynagrodzenia, bo ci wielcy, uznani zarabiali za dużo. Ale nikt nie pomyślał, że tym samym tym mniej znanym też się pieniądze odbiera. A aktorstwo to nie jest łatwy zawód. Iluś czynności składających się na ten zawód nie widać. Bo najłatwiej patrzeć na ciężki zawód górników, choć już coraz mniej ludzi tak patrzy na ten zawód. A powtórzę, aktorstwo nie jest łatwe i dlatego powinno być godziwie wynagradzane.

reklama

www.echogorzowa.pl

519 462 660

Gorzowskie szklane d... czyli historia pięknych

Lata prezydentury Tadeusza Jędrzejczaka wyznacza wiele mniej lub bardziej udanych inwestycji.

Słowianka, nadwarciański bulwar, nowy układ komunikacyjny, stadion żużlowy, czy wreszcie budynek filharmonii w sposób zasadniczy zmieniły wygląd Gorzowa nadając mu sznyt nowoczesności i postępu. Jest jednak i druga strona tego medalu. Przy okazji realizacji wielkich gorzowskich inwestycji zrodził się zwyczaj tworzenia wizualizacji i makiet planowanych obiektów mających pokazać obywatelom naszego miasta, jak będą one wyglądać po ich zrealizowaniu. Zanim powstała Słowianka, to makietą tego kompleksu sportowo-rekreacyjnego odwiedziła prawie wszystkie wówczas istniejące supermarkety, by gorzowianie mogli się dowiedzieć, co miejska władza planuje zbudować dla zadowolenia wszystkich mieszkańców. Było to tym bardziej uzasadnione, że pomysł budowy wielofunkcyjnej pływalni i aquaparku spotkał się z totalną krytyką ze strony przeciwników prezydenta Jędrzejczaka, którzy twierdzili, że nie stać nas na budowę takiego kosztownego obiektu użyteczności publicznej, że gigantomania, że megalomania, że to chęć stawiania sobie drogiego w utrzymaniu pomnika. Stała się więc ta makietka ważnym orężem w walce politycznej toczącej się wokół tego projektu.

Sukces tej inwestycji i powszechna akceptacja Słowianki przez gorzowian wpłynęły w określony sposób na zachowania władz miast przy realizowaniu kolejnych zamiarów inwestycyjnych. Myślę, że to wtedy zrodził się taki sposób myślenia: „skoro mieliśmy rację w odniesieniu do Słowianki, to znaczy, że my najlepiej wiemy, co miasto i jego mieszkańcy najbardziej potrzebują”. Tych wszystkich, którym nie podobają się pomysły włodarzy Gorzowa, przekona się fajnymi, przemyślanymi do wyobraźni wizualizacjami lub makietkami, gdzie błyskają rozmaite światła, jeżdżą miniaturowe samochodzików. Świat Liliputów widziany z perspektywy Guliwera jest taki urokliwy, bo przecież nie widać w ten sposób dziur w jezdniach i chodnikach, obrzydliwych mazażów na ścianach gorzowskich kamienic, czy wszechobecnych pojemników na śmieci.

Dlatego za czasów prezydentury T. Jędrzejczaka w gorzowskim ratuszu zawsze stała jakaś okolicznościowa makietka ilustrująca zamiary władzy w zakresie inwestowania i rozwijania miasta. Samo w sobie nie było to jednak nic złego, bo przecież te wszystkie makietki winny stać się zaczątkiem obywatelskiej dyskusji o tych pomysłach, o tym czy rzeczywiście ich artystyczna wizja odpowiada gustom i oczekiwaniom gorzowian. I tak też poniekąd się stało. Nawet szkoda, że wcześniej przy innych pomysłach inwestycyjnych tego nie praktykowano. Gdyby tak było, to może udałooby się uniknąć postawienia w centralnym punkcie miasta architektonicznego potworka w rodzaju osławionej Dominanty.

Z drugiej strony te wizualizacje i makietki stały się wyrazem gorzowskiego chęćstwa i symbolem pomysłów, na realizację których nie było ani środków, ani skutecznego pomysłu na ich pozyskanie. W ten sposób powstało kilka wizualizacji czy makiet będących swoistą projekcją marzeń. Pewnie, pomarzyć piękna rzecz, ale czasami trzeba być bezwzględny realistą i twardo stąpać po ziemi, o czym świadczą ostatnie lata.

Wyjątkowa, w gorzowskich realiach, zgoda wszystkich sił politycznych dotycząca budowy w naszym mieście hali widowiskowo-sportowej nie przyniosła jednak żadnych konkretnych wyników. Była publiczna deklaracja prezydenta Jędrzejczaka w przebiegu telewizyjnej transmisji finałowego meczu gorzowskich koszykarek o tytuł Mistrza Polski. Gdyby to zapewnienie zostało dotrzymane, to od kilku lat nie musielibyśmy zazdrośnie spoglądać na sąsiadów z południa, którzy w swej pięknej hali goszczą reprezentację Polski w tenisie, piłce ręcznej i siatkowej, że o drużynie mistrza kraju w koszykówce nie wspomnę. A tak mamy sytuację, że radni uchwalają w miejskim budżecie środki finansowe na opracowanie projektu hali, projektu, który według zapewnienia prezydenta już dawno powstał i dawno został opłacony. Dyskutujemy przy



Hala sportowa



MCK



Schody Donikąd

tym, czy hala ma powstać na ulicy Mironickiej (kto wie, gdzie to jest?), czy może w okolicach Słowianki. Czyli po kilku latach sporów i jałowych dyskusji nadal jesteśmy daleko w polu.

Z roku na rok przybywa zadań miastu i rosną urzędnicze szeregi, co sprawiło, że prezy-

dent miasta stał się jednym z największych pracodawców w Gorzowie. Dziś w Urzędzie Miasta pracuje już chyba z pół tysiąca ludzi, a magistrackie wydziały zajmują cztery czy pięć budynków w różnych częściach miasta. To z tego powodu T. Jędrzejczak i jego współpracownicy z uporem i

konsekwentnie lansowali się ideą budowy nowego ratusza w mieście. Budowa ratusza na odległym Zawarcu, jak przekonywali, była pomysłem słusznym i najlepszym z możliwych. Trudno jednak było znaleźć zwolenników tego projektu, bowiem od zawsze ratusz znajdował się w cen-



Ratusz



Willa Jaechnego

trum miasta. Gorzowski pomysł na budowę ratusza na Zawarcu, które to dla wielu mieszkańców stanowi prawie peryferia miasta, nie budził więc entuzjazmu i nie wywołał powszechnej zgody. Prezydent Jacek Wójcicki odrzucił ten pomysł, stawiając na renowację i przyłączenie stare-

lomy, h makietek



Skierowanie olbrzymich jak na gorzowskie warunki pieniędzy na budowę sali koncertowej i później na funkcjonowanie filharmonii w sposób oczywisty ograniczyło możliwości inwestowania w inne placówki i instytucje kultury. Trudno więc mówić tutaj o zrównoważonym rozwoju, mamy bowiem z jednej strony supernowoczesny, a co za tym idzie kosztowny w utrzymaniu, budynek FG, z drugiej natomiast rozsypujący się, grozący katastrofą budowlaną obiekt noszący dumną nazwę Miejskiego Centrum Kultury. Na skutek tego ogranicza swą działalność, zawiesza funkcjonowanie klubu Magnat, coraz mniej znacząc w życiu kulturalnym miasta. Trzeba sobie powiedzieć, że bez modernizacji MCK upadnie, bo jego funkcjonowanie sprowadzi się do administrowania amfiteatrem i salą koncertową urządzoną w dawnej hali targowej, a którą wywianowano MCK, jak się domyślam, niekiedy nieznacznie pytając obdarowywanego o zgodę.

W jeszcze gorszym stanie technicznym jest willa Jaehnego, czyli dawne policyjne „dołki”, którą przejęło miasto, planując w zabytkowych wnętrzach urządzić nową siedzibę Miejskiego Ośrodka Sztuki, jako że w obecnej w trakcie wernisaży większą uwagę niż wystawiane obrazy zwracają wiaderka ustawione pod przeciekającym w czasie deszczu dachem. Stylowa willa jest w kiepskim stanie, choć przy uruchomieniu odrobiny wyobraźni nie trudno domyślić się jej walorów architektonicznych i po przeprowadzeniu remontu niewątpliwie świetnie komponowałaby się z wypieszczonym sąsiadem - budynkiem biblioteki. Dziś jest żalosnym kontrastem dla biblioteki i niemym wyrzutem sumienia dla władarzy niepotrafiących zadbać o rzadkie przecież w naszym mieście zabytki architektury. Ktoś jednak wpadł na dość oryginalny pomysł „opakowania” willi w szklany pojemnik, co dla wielu gorzowian daje efekt wątpliwy artystycznie i być może niepraktyczny oraz kosztowny w utrzymaniu. Może to i dobrze, że brakowało kasy na realizację tego projektu. Mamy więc kolejną makietkę, skutecznie powiększając kolekcję projektów przynajmniej na razie

niezrealizowanych. Willa Jaehnego nie będzie jednak w szkło opakowana i w ten sposób ratowana. Inne są wobec niej już plany

Na koniec pozostawiłem sobie obiekt, który pokazuje, że pewien sposób myślenia jest ponadczasowy i ponadustrojowy. Chodzi o osławione „Schoody Donikąd”. Wybudowane w latach 70., a więc w czasach słusznie uznanych za epokę woluntaryzmu i życia ponad stan, stały się swoistym symbolem tworzenia nierealnych planów i mrzonek niemożliwych do realizacji. Bo przecież to nie są zwykłe schody. To są schody prawie że do nieba. Nie wystarczyło powierzyć im zwyczajną rolę prostego szlaku komunikacyjnego prowadzącego do wspaniałego punktu widokowego, z którego Gorzów wygląda prawie tak pięknie jak z lotu ptaka. U ich szczytu miały powstać różne oranżerie, menażerie, restauracje i nie wiadomo co tam jeszcze. Plany, jak to zwykle u nas bywa, zwłaszcza te niepodparte rzetelną analizą możliwości realizacyjnych, pozostały w sferze marzeń. Okazuje się jednak, że i dziś nie możemy poprzestać na tym, by przywrócić tym schodom ich podstawową funkcję, czyli zwyczajnego, dawno urządzonego urządzenia, po którym można by się wspiąć na górę, by usiąść na ławeczce i spokojnie podziwiać swoje miasto. Dziś nie można chodzić po tych schodach bez narażania zdrowia i życia. Zamiast po prostu je naprawić, byliśmy czarowani projektami zbudowania monumentalnych schodów prowadzących do gorzowskiego Centralparku, otoczonego kafejkami i takie tam cuda, wianki. Makietka wyjątkowo urokliwa.

Kilka lat temu biblioteka wydała kalendarz ilustrowany widoczkami naszego miasta, w które zostały wpisane rozmaite, słynne na cały świat zabytki architektury. Mieliśmy, więc wieżę Eiffla wrysowaną gdzieś na osiedlu Staszica, kopenhaską Syrenkę siedzącą nad Wartą, brukselskie Atomium, egipskie piramidy i wiele innych cudów. Był to świetny pomysł i niebanalny dowcip. Ale makietki to były i są tak na poważnie.

JERZY KUŁACZKOWSKI

Quadami trzeba umieć jeździć, także po bezdrożach

Miłośnicy motoryzacji mogą przebierać w sposobach spędzania wolnego czasu.

Przesiadając się z najpopularniejszego środka transportu, jakim jest samochód, często wybierają quady - pojazdy, których użytkowanie w dalszym ciągu nie dla wielu nie jest ani jasne, ani proste. Choć do wypadków na quadach dochodzi statystycznie bardzo rzadko, a jeśli już to zdarzają się one poza drogami publicznymi, to nadal w przekonaniu większości użytkowników dróg są to pojazdy w miarę bezpieczne, na których użytkowanie nie potrzeba specjalnych umiejętności. Nic bardziej mylnego. W czerwcu tego roku przekonał się o tym 33-letni mieszkaniec Zbąszynka, który wbrew zdrowemu rozsądkowi pozwolił pojeździć quadem 9-latkowi. Dziecko pojazdu nie opanowało, uderzyło w ogrodzenie i z poważnymi obrażeniami znalazło się w szpitalu.

Do podobnej sytuacji doszło również w czerwcu w Gorzowie. 7-letnie dziecko za zgodą rodziców jeździło po parki czterokołowcem. Mimo, iż pojazd nie był duży, dziecko go nie opanowało i z impetem uderzyło w drzewo. I w tym przypadku trafiło do szpitala

z poważnymi obrażeniami. Tym razem można mówić o dużym szczęściu. Nic jednak nie zastąpi zdrowego rozsądku połączonego z wiedzą i umiejętnościami. Dlatego poniżej przedstawiamy podstawowe informacje, jakie powinien poznać każdy, kto chce cieszyć się z uroków jazdy, tym jakże wdzięcznym i wszechstronnym pojazdem.

Quad (czterokołowiec) traktowany jest jako inny pojazd samochodowy. Może poruszać się po drogach publicznych, w strefach ruchu, w strefach zamieszkania. Tak jak inne pojazdy powinien

posiadać aktualne badania techniczne, kierujący natomiast winien posiadać przy sobie uprawnienia do kierowania oraz ważną polisę OC.

Uprawnienia do kierowania:

- Jeśli pojazd jest zarejestrowany jako czterokołowiec lekki, tzn., że jego masa własna nie przekracza 350 kg, a prędkość maksymalna nie przekracza 45 km/h, pojemność silnika jest mniejsza niż 50 cm³, a moc jednostki napędowej to mniej niż 5.4 KM, to kierujący powinien posiadać prawo jazdy kat. AM lub kategorii wyższej. Prawo jazdy kat. AM można uzyskać na podobnych zasadach, jak inne kategorie praw jazdy. Trzeba mieć skończone 14 lat, przejść badania lekarskie, ukończyć kurs oraz zaliczyć egzamin państwowy. Posiadacze kategorii prawa jazdy B1 lub B mogą prowadzić quady o dowolnej mocy i pojemności silnika.

Zdarza się, że pojazdy te rejestrowane są jako motorowery, motocykle lub ciągniki rolnicze. W tych przypadkach obowiązują uprawnienia do kierowania na poszczególne wymienione pojazdy.

Kask:

- Tak kierujący, jak i osoba przewożona czterokołowcem obowiązani są używać kasków ochronnych, zgodnych z właściwymi warunkami technicznymi. Wyjątek stanowią quady wyposażone w zamknięte nadwozie oraz pasy bezpieczeństwa. W nich używać kasków nie trzeba.

Dziecko na quadzie:

- Dziecko w wieku do 10 lat na drodze publicznej nie może kierować jakimkolwiek

pojazdem, z wyjątkiem roweru pod opieką osoby dorosłej.

Nie ma bezpośredniego zakazu kierowania pojazdem poza drogą publiczną. Należy jednak pamiętać o zapisie art. 1 ust. 2 Ustawy prawo o ruchu drogowym, który odnosi się do ruchu odbywającego się poza drogami publicznymi. Ustawodawca określa tam, że przepisy stosuje się, jeżeli jest to konieczne dla uniknięcia zagrożenia bezpieczeństwa uczestników tego ruchu. Prowadzenie quada przez dziecko może być w taki właśnie sposób zinterpretowane. Pamiętajmy. To rodzice mają obowiązek dbać o to, aby dziecko w sposób prawidłowy korzystało z czterokołowca.

W przypadku, gdy dziecko doprowadzi do realnego zagrożenia dla życia i zdrowia ludzkiego poprzez kierowanie takim pojazdem za zgodą rodziców lub innych osób dorosłych, osoby takie narażają się na odpowiedzialność karną, o czym mówi art. 96 Kodeksu wykroczeń oraz art. 160 Kodeksu karnego. Może za to grozić kara do 3 lat pozbawienia wolności.

Quadem po lesie:

- Zgodnie z przepisami ustawy o lasach, ruch pojazdem silnikowym, zaprzęgowym i motorowerem w lesie dozwolony jest jedynie drogami publicznymi, natomiast drogami leśnymi jest dozwolony tylko wtedy, gdy są one oznakowane drogowskazami dopuszczającymi ruch po tych drogach. Niestosowanie się do powyższych zasad skutkować może karą grzywny.

Na podstawie materiałów Zespołu Prasowego KW Policji w Gorzowie



Czterokołowcem trzeba umieć jeździć na każdej drodze.

go obiektu po komendzie policji w centrum miasta przy Obotryckiej, gdzie przed wojną mieściła się siedziba miejskiej władzy.

No, ale mamy fajną makietkę nowego ratusza na Zawarcu, z zegarem na wieży, budynku cudnej piękności ze szkła i metalu, efekt snu architekta.

Mówimy o Grecji, myślimy zaś o... Polsce

Biura podróży w Gorzowie oferują nam wyjazd do Grecji. Nie tylko podczas wakacji na letni wypoczynek.

Greckie wyspy, plaże, hotele, dobra kuchnia i obsługa, a szczególnie miejsca bezcennych zabytków sięgających kilku tysięcy lat greckiej cywilizacji uchodzą za idealne miejsca spędzania urlopów. Chętnie do tego pięknego kraju jeździmy. Dowiadujemy się, że to Grecy już przed wiekami byli najlepsi w technice budowy okrętów wojennych, w produkcji wyrobów z miedzi, a później z żelaza. Tam rozwijały się demokratyczne miasta - państwa, wprowadzono ideę demokracji - „władzę ludu”, i z tych przykładów czerpiemy dzisiaj wiedzę o funkcjonowaniu społeczeństwa. Prawie pięćset lat p.n.e. Perykles polecił zbudować Partenon, Sofokles napisał „Króla Edypa”, Sokrates uczył ateńczyków zasad logiki, która jest królową nauk. Od Greków uczono się słowa pisanego, alfabetu. Z tego dumnego narodu wywodzi się Tales z Miletu, Arystoteles, Platon, Demokryt czy Hipokrates z przysięgą medyków aktualną do dziś. To Grecja przewodziła Cesarstwu Bizantyjskiemu. Tam odbyły się pierwsze igrzyska sportowe nazywane Olimpiadami. Ten kraj ma najpiękniejsze unikatowe na skalę światową zabytki, stanowiące dowody historycznej świetności Grecji. O pracowitości i potencjale intelektualnym niech świadczy Akropol, Partenon, Erechtejon, Delfy i tysiące innych historycznych dzieł architektury.

Co w Grecji się dzisiaj dzieje? Dochodzą do nas informacje, że Europejczycy technokraci, bo nie poszło po ich myśli, nazywają ten zasłużony dla cywilizacji europejskiej naród leniami, marnotrawcami jakiejś szansy walutowego euro. W parlamencie UE poniewierają ich premiera, Niemcy żądają zastawu majątku narodowego, sprzedaż wysp czy, jak w Polsce, prywatyzacji narodowych sektorów gospodarki - Grecja na sprzedaż. Ich gospodarkę, podobnie jak polską, sprowadzono już do poziomu peryferyjnego. W referendum 61,3% Greków zagłosowało przeciwko warunkom pieniężnej pomocy od Unii Europejskiej, Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Europejskiego Banku Centralnego. Grecy nie ulegli dyktato-



Augustyn Wiernicki, absolwent Akademii Rolniczej i Akademii Ekonomicznej w Poznaniu, od 1982 przedsiębiorca i właściciel znanej firmy w Gorzowie Wilp., były radny, doradca wojewody w latach 2000-2001, społecznik, od 1992r. prezes i założyciel Stowarzyszenia Pomocy Bliźniemu im. Brata Krystyna.

wi, który powodowałby dalsze obniżanie ich poziomu życia, zmuszał do ogromnych wyrzeczeń zadłużonych kredytami na własne mieszkanie. Polacy już to przeszli i znają ten ból.

Angielski Eurodeputowany (UKIP) Nigel Farage mówi, że Grecy odrzucili zastraszanie greckiego narodu przez urzędników Brukseli zadających tym eurokratom miażdżący cios. Według niego, wyjście Aten ze strefy euro jest nie tylko „nieuniknione”, ale „pożądane, tak by mogła rozpocząć się trwała odbudowa ekonomiczna kraju. **Po wejściu do UE i przyjęciu euro rozpoczęła się degradacja greckiej narodowej gospodarki.** Polska doświadczyła takiej destrukcji od 1989 roku. W pułapkę zadłużeniową wpadły też Włochy, Hiszpania, Portugalia, i kraje postsocjalistyczne, w tym Polska. U jednych kłopoty widać już teraz, u innych, jak Polski, problemy przesunięte są w czasie ze względu na płynący jeszcze strumień funduszy UE wraz z kredytami. Zadłużenie tych krajów powiększa się w zaskakującym tempie. Zachodni bankierzy chcieliby dalej pożyczyć Grecji pieniądze, żeby mogła im spłacać odsetki z poprzednich pożyczek. Przy obecnym stanie gospodarki, lichym eksporcie, wzroście

kosztów administracji i niskiej efektywności inwestycji ze środków UE, zadłużenie nie ma końca i dlatego Grecy nie chcą już dalej pożyczać i godzą się bankrutować, chcą błędy naprawić. Czy jednak na bankructwo zgodzą się Niemcy? Mało prawdopodobne. Grecy mają jeszcze największą na świecie flotę statków dalekomorskich z siecią portów i stoczniami. No właśnie, a może o to chodzi? Kiedyś Polska kroczyła w tej branży tuż za Grecją, i co się stało?

Bankructwo Grecji przedstawiane jest nam, zwłaszcza przez ośrodki opiniotwórcze związane z światem bankierów, jako coś bardzo tragicznego dla kraju, swoistego rodzaju „koniec świata”. Jak podaje Magdalena Krukowska z Forbes, w ciągu ostatnich 200 lat płynność finansową straciło 80 państw. Bankrutowała już Rosja w 1998r., Hiszpania za króla Filipa II, Argentyna w 2002r., Anglia w 1932r., USA w 1930 r., Niemcy w 1932, 1939, i w 1948 roku, a Wenezuela bankrutuje co 18,5 roku - i nic strasznego się nie stało. Kłopoty mają banki, które tę spiralę zadłużenia nakręciły. **Bankrutujące państwa nie mogą być „zlikwidowane” i przejęte przez wierzycieli.** Kiedyś bankructwo kraju było dla banku bar-

dziej bolesne, bo obracały one prawdziwym pieniądzem mającym pokrycie w złocie. Dzisiaj banki oferują kredytobiorcom tzw. pieniądź fiducyjny, który sobie mogą wyemitować w ilości, ile tylko rynek potrzebuje, pod warunkiem obowiązkowej rezerwy w banku centralnym. W przypadku niewypłacalności kraju banki tracą więc pieniądze fiducyjne, jak te pożyczone we frankach, których w większości nigdy nie miały. To tak mniej więcej jakby nam ktoś zabrał milion złotych, których fizycznie i tak nie mieliśmy. Banki komercyjne korzystają z przywileju pożyczania wirtualnych pieniędzy zadłużając całe narody. Rząd Grecji zrozumiał, że w tą pułapkę niekończącego się zadłużenia wchodzić dalej nie można. Z hałasem odzywają się środowiska światowej finansjery i tzw. ekonomiści „agitatorzy”. Bankierzy się boją, że w ślad za Grecją czy Islandią, pójdą inne kraje. Wykupują narodowe banki słabszych krajów, a w razie nadmiernego zadłużenia manipulują emisją krajowego pieniądza. Bez właściwej ilości krążącego pieniądza, jako ekwiwalentu wymiany, gospodarka wraz z wymianą towarową jest „paraliżowana”. Jak podaje St. Michalkiewicz, przed kilkoma laty

Islandia przeprowadziła referendum i odmówiła spłacania lichwiarskich długów, a „agitatorzy” bankowi w zamian zagrozili jej „izolacją”. Straszono, że nie dostanie pomocy od banków, że będzie gigantyczny chaos i państwo się zawali. Nic takiego się nie stało. Rząd Islandii sam sobie poradził, miał kilka banków, możliwość kreowania własnego pieniądza i tej rzekomej katastrofie zapobiegł. Musimy wiedzieć, że emisja pieniądza odbywa się tylko po przez kredyty, czyli zadłużanie. Jest to skuteczna metoda panowania jednych, którzy mają silny system bankowy, nad tymi, którzy własnej bankowości się pozbyli w imię „magii” wolnego rynku, jak Polska.

Zadłużenie Polski z ok 400 mld dol, porównując gospodarkę, jest porównywalne z greckim 320 mld euro. Grecja jak i Polska tego długu nie będzie w stanie spłacić, tym bardziej że w przeciwieństwie do Greków my już wyprzedaliśmy swoje wartościowe majątki narodowe - pisze dr J. Szewczak. Polska nie weszła do strefy euro i w tym ma przewagę nad Grecją. Mamy resztówkę polskich banków i Narodowy Bank Polski, który ma jeszcze możliwość emitowania pieniądza gotówkowego. Prof. Kołodko: „gdybym był Grekiem, w referendum głosowałbym na „nie”. Nie mógłbym głosować za programem, który nie rozwiązuje problemu.” Stwierdza ponadto, że na początku lat 90. również Polsce narzucono politykę szokową bez terapii. Niestety znaleźli się u nas tacy, którzy powiedzieli „tak”, zamiast „nie” i to nas bardzo dużo kosztowało - mówi profesor.

Krzysztof Rak z Ośrodka Analiz Strategicznych pisze, że „euro było pierwszym krokiem ku wielkiej europejskiej federacji. Dzięki niemu Europa Ojczyzn miała przekształcić się w Stany Zjednoczone Europy (...). To się udało nie mogło. Kanadyjski ekonomista Robert Mundell na początku lat 60. XX wieku stworzył teorię optymalnego obszaru walutowego, za którą dostał Nagrodę Nobla. **Ta teoria mówi, w uproszczeniu, że wspólny pieniądź mogą mieć tylko**

kraje o podobnym stopniu rozwoju gospodarczego. A zatem Grecja i Polska nie powinny mieć takiej samej waluty jak Niemcy i Francja, a krach euro to wynik pogwałcenia zasad ekonomii. Krążący pieniądź, jak ciecz w osmozie, przepływa z gospodarki słabszej do gospodarki silniejszej. Niemcy to zjawisko wykorzystali tym skuteczniej, że wspólna waluta euro ten przepływ ułatwia, a oni nie wiedzą co z nadmiarem pieniądza robić. Zatem słabsi, tacy jak Grecja, Polska, Rumunia, Bułgaria, i inne tego typu kraje, są więc bogatszymi potrzebni. Niemcy zrobią wszystko, by Grecję zatrzymać w strefie euro nawet kosztem dodatkowych miliardów. Przecież 60-80% dotacji UE oraz zysków zachodnich filii wraca m.in. z Grecji i Polski, do krajów bogatszych, a szczególnie Niemiec. **To niemiecki majstersztyk wart Nobla.** Po wyjściu Grecji ten sprytny mechanizm ekonomiczny może dla Niemców przestać działać. Namawiają więc Polskę by ta zajęła w strefie euro miejsce obok Grecji. Wielu naszych polityków mówi głupoty bo tego mechanizmu przepływu pieniądza nie rozumie. Grecja prędzej czy później powinna opuścić strefę euro - mówi noblista prof. P. Krugman. Ekonomiści są zgodni, że główną przyczyną jej problemów było przyjęcie euro i tylko przez wyjście ze strefy euro może rzucić „kajdany” zadłużenia, ogłosić niewypłacalność, wprowadzić swój pieniądź, odbudować gospodarkę i system bankowy. Może Grecja okaże się słaba, przyjmie znaczną redukcję długu i podda się terapii szokowej? Możliwe. To jednak nie rozwiąże przyczyn jej problemów, a długi i tak będą rosły - jak w Polsce. Wiele rządów idzie po rozum do głowy i swoją ekonomię naprawia, by pieniądze z kraju nie wypływały. Może nasi też pójdą po rozum do głowy? **„Grecką tragedię” musimy obserwować, bo także u nas doprowadzono do ogromnego zadłużenia kraju w prywatnych bankach i MFW. Bogatsi naszą naiwność bezwzględnie wykorzystają.**

AUGUSTYN WIERNICKI

r e k l a m a



Hotel Mieszko przyjazne miejsce spotkań

Dla Biznesu:

- nowoczesne Centrum Konferencyjne:
5 sal, nowoczesny sprzęt, obsługa informatyczna
- catering
- bankiety
- spotkania integracyjne
- spotkania biznesowe

Dla osób prywatnych:

- uroczystości rodzinne
- wesela
- studniówki



Naszym gościom zapewnimy wysoką jakość usługi, komfort pobytu, przyjazną atmosferę.

Kontakt: Hotel Mieszko, ul. Kosynierów Gdyńskich 82, 66-400 Gorzów Wlkp.,
tel. 95 733 98 99, dział obsługi klienta 95 733 98 94, 698 640 539.



AGRO-BIZNES Sp. J.
Suliszewski - Rudnicki

HALA TARGOWA

66-400 Gorzów Wlkp., ul. Myśliborska 56, tel. 95-722-33-19
www.agro-biznes.pl

RABATOWE PIĄTKI I SOBOTY

-25%

na wybrany asortyment

akcesoria do podlewania



narzędzia ogrodnicze



opryskiwacze i części zamienne Kwazar



agrowłókniny, folie, plandeki, sznurki



nawozy i środki ochrony roślin



pasze dla zwierząt gospodarskich i domowych, materiał poplonowy



ZAPRASZAMY pon. - pt. 8.00-17.00, sob. 8.00 -14.00

Bywały tu słynne samoloty i bywali też słynni piloci

Już 21 sierpnia br. rozpocznie się dwudziesty piąty, jubileuszowy Piknik Lotniczy w Trzebiczu Nowym.

W tym roku obok fascynujących statków powietrznych i znamienitych pilotów na scenie pojawi się zespół Cliver i obiecujący wokalista Mateusz Mijał. Nie zabraknie lokalnych muzyków oraz innych atrakcji. Jak na jubileusz przystało, będzie sporo, a nawet jeszcze więcej się działo.

Tradycyjnie już gdy zapadnie zmierzch i zakończą się loty zabrzmi muzyka i rozpocznie zabawa. Trzebiecz Nowy znany jest bowiem nie tylko z lądowiska, na którym odbywają się imprezy lotnicze. Ogromny namiot klubowy Air Camp odrodził się po pożarze i znowu oferuje wiele miejsca zarówno dla tych, którzy chcą w wygodnych warunkach po rozmawiać, jak i tych, którzy lubią poszaleć na parkiecie. Organizatorzy zawsze zapewniają atrakcje dla wszystkich. W otoczeniu fascynującej przyrody, w sercu Puszczy Noteckiej doskonale można spędzić czas oglądając to co dzieje się na scenie, odwiedzając liczne stoiska lub po prostu spacerując. Miłośnicy lotnictwa mają niepowtarzalną okazję pogodowania z bliska maszyn, które na innych imprezach lotniczych zwykle są niedostępne i niemal niewidoczne dla odwiedzających. W Trzebiczu wszystko jest blisko. Od lat niepowtarzalna atmosfera przyciąga w to miejsce pilotów i osoby, dla których lotnictwo jest pasją. Godni podziwu są organizatorzy - Elżbieta i Ryszard Chwaliszowie. Przez trzy dni uwijają się w pocie czoła, a nie jest to zwykła masowa impreza, podczas której



Starty i lądowania różnych maszyn często bywają bardzo efektowne.

wystarczy zapewnić noclegi i muzyczno-kulinarne atrakcje. Lotnicze standardy bezpieczeństwa są bardzo wyrubowane. Regulacja ruchu powietrznego, zapewnienie bezpieczeństwa widzów i pilotów to potężne wyzwanie. Tym bardziej, że zwykle w powietrze wzbijają się różne rodzaje latających maszyn. Obok motolotni, motoparalotni i samolotów często pojawiają się balony i modele latające. Poza tym trzeba zadbać o widzów zapewniając im wygodne parkingi z w miarę bezkolizyjnymi wyjazdami. Pracy jest co nie miara. Kilka lat temu przedstawiciel jednego z wielkich polskich browarów, który zaopatruje Przystanek Woodstock, nie krył swego zdziwienia. W końcu stwierdził, iż nie spodziewał się, że w małym Trze-

biczu Nowym organizuje się imprezę ustępującą ilością ludzi jedynie tej w Kostrzynie.

Typhoon zamiast myśliwca

Wszystko zaczęło się od pasji i uporu Ryszarda Chwalisz.

- Ojciec chciał żebym został marynarzem. Brat wybrał również mundur i skończył Wojskową Akademię Techniczną. Ja jednak marzyłem o lataniu. Zdawałem do słynnej Szkoły Orląt w Dęblinie. Niestety, nie zostałem przyjęty - opowiada. Można tylko dociekać, czy łatwiej dostać się do „filmówki”, czy do Dęblina. Stosunek miejsc do ilości kandydatów jest zbliżony. Trudno jednak było go zniechęcić do latania. Podczas pobytu na targach w Czechosłowacji niedoszły pilot myśliwski zobaczył

samolot ultralekki. Interesy szły nieźle i szybko podjął decyzję o jego zakupie. Niebawem wznosił się w powietrze. Doskonalił umiejętności pod okiem doskonałego szefa wykształcenia Witolda Soroki. Ciągłe wspomina te nauki i docenia to, ile im zawdzięcza.

- Pomysł na pikniki lotnicze narodził się podczas rozmów w Aeroklubie Poznańskim. Na pierwszy piknik w 1995 roku przybyły trzy motolotnie z silnikami Trabanta. Czwartym statkiem powietrznym był mój Typhoon. Impreza się spodobała i doszło do tego, że zaczęliśmy robić po dwa pikniki rocznie - wspomina Ryszard Chwalisz.

Od Antka po grupę Żelazny

Każdy z pikników ma swoją historię. Trzebiecz szybko stał się słynny nie tylko w Polsce. Pikniki odwiedzali piloci z wielu krajów Europy, prezentując swoje umiejętności, jak również bardzo rzadkie maszyny. Gdy w 2006 zawiązywał się Aeroklub Gorzowski, który do dzisiaj nie dysponuje lądowiskiem, nawiązano kontakty z niemieckim klubem Rothe Adler. Od tego czasu Cessny i Moran z za Odry są co roku gośćmi pikniku. Nikt nie jest w stanie policzyć ilu pasażerów samoloty te zabrały na swoje pokłady. Goście pikników co roku cierpliwie czekają w kolejkach do samolotów. Dla wielu jest to pierwszy w życiu lot. Trudno zapomnieć ponad 80-letnią panią, która po swoim pierwszym w życiu locie ustawiła się po raz drugi w kolejce twierdząc, że nie przeżyła cze-

gość tak pięknego. O tym jak wielka jest lotnicza pasja świadczy także coroczna kolejka chętnych do zajęcia miejsca w kabinie Uwe Zimmermanna. Lot w przeznaczony do ekstremalnych akrobacji Extra 200 to nie żarty. Na ogół osoby, dla których pierwszy lot był lotem ekstremalnym, wychodziły z kabiny lekko oszołomione, ale niebywale szczęśliwe. Piknikowe opowieści można snuć bez końca. Warto również wspomnieć, że lądowisko odwiedziło wiele zabawkowych maszyn będących ikonami historii awiacji. Bardzo często nie mieściły się one w kategorii ULM, czyli samolotów ultralekkich. Był słynny amerykański WACO, a klasycznym Antonowem AN 2 wielokrotnie można było polatać. Bywały tu słynne samoloty i bywali też słynni piloci. Częstym gościem jest też dr Zbigniew Czerwik, nestor polskiego motolotniarstwa, który mimo ponad 80 lat nadal lata i szkoli pilotów. Regularnie przylatują piloci Lasów Państwowych na Dromaderach. Zrzucanie tzw. bomb wodnych jest od lat jedną z oczekiwanych atrakcji. Kilka lat temu swoje umiejętności prezentowali piloci słynnej grupy akrobacyjnej „Żelazny”. Zademonstrowane przez nich akrobacje zapierały dech i sprawiały, że co chwilę wśród widzów zapadała martwa cisza.

Pikniki są rzadką okazją, aby dowiedzieć się o dzisiejszych realiach lotnictwa i motolotniarstwa. Można zdobyć wiedzę i zasięgnąć opinii od konstruk-

torów motolotni. Bywa, że osoba, która wypytywała i chłonęła wiedzę po roku lub dwóch pojawiała się na lądowisku za sterami własnej motolotni.

Piknik to również konkurencja lotnicze, które można obserwować podziwiając precyzję pilotów. Przy okazji można dowiedzieć się wiele o najważniejszych zawodach rozgrywanych na świecie. W Trzebiczu bowiem trenuje nasza narodowa kadra.

Modele i drony

Podczas kiedy na dzieci oczekują przeróżne atrakcje a DJ Ucho organizuje konkursy, zapowiada kolejnych wykonawców, a przy tym prezentuje pilotów i samoloty, młodzież zwykle obiega stoiska modelarzy. W tym roku zapewne będzie tak samo. Trzebiecz odwiedzali regularnie modelarze z Gorzowa i Poznania prezentując swoje dzieła. Trudno mówić o miniaturach w przypadku modeli o rozpiętości skrzydeł dochodzącej do dwóch metrów. Taki sterowany radiem statek powietrzny można z pewnej odległości łatwo pomylić z samolotem. Przed rokiem ktoś z gorzowskiego klubu Feniks trafnie zauważył, że wojskowe drony to zemsta modelarzy na tych, którzy śmiali się z ich „bezsensownego” dlabania. Obecnie wiadomo, że niewielki samolot bezzałogowy ma wiele zalet, których nie ma duży samolot. Nie nazywa się już go modelem a bezzałogowym statkiem powietrznym lub dronem, a ludzie projektujący takie maszyny robią zawrotne kariery.

Przed nami kolejny Piknik Lotniczy. Bogaty w wydarzenia weekend przyniesie wiele wrażeń, które zapewne wspominać będzie można przez kolejne lata, podobnie jak minione pikniki. Organizatorzy przewidzieli też chwilę ciszy, podczas której będzie można pomyśleć o tych, którzy z różnych przyczyn nie doczekali jubileuszu. Przede wszystkim jednak będą wspinały się statki powietrzne, muzyka i fascynujący ludzie. Elżbieta i Ryszard Chwaliszowie oraz firma Agroturlet zapraszają w dniach 21-23 sierpnia br. na jubileuszowy, bo już 25. Piknik Lotniczy w Trzebiczu Nowym.

RYSZARD ROMANOWSKI



Piknik Lotniczy to również okazja do podniebnej przejażdżki z doświadczonym pilotem.

Słota, śnieg czy coś innego - turyści idą dalej

Niedzielne wycieczki, wyjazdy w Polskę, wigilie, sylwestry i trochę innych działań.

W takim rytmie żyją członkowie Klubu Turystyki Pieszej Nasza Chata. Właśnie klub został wyróżniony Honorową Odznaką Miasta.

- Dla nas to wyróżnienie, które pokazuje, że takie systematyczne działanie, jak nasze, ma sens - mówi Małgorzata Szymczak, prezes Klubu Turystyki Pieszej Nasza Chata, która 2 lipca w imieniu piechurów odebrała Honorową Odznakę. Klub był jedyną organizacją odznaczoną podczas tej gali.

Uczestnicy niedzielnych wycieczek klubowych żartują, że ich życie toczy się od niedzieli do niedzieli, bo właśnie w niedzielę punktualnie o 9.00 rano ruszają na trasę. - Rodzina się musiała przestawić na sobotnie obiady. Wcześniej przychodzili do mnie w niedziele, ale jak ruszyłam na szlak, a było to 20 lat temu, przychodzą w sobotę - mówi Danuta Szeliłowska, która na liczniku ma już 9 tys. km.

- Nie ma złej pogody, są tylko złe ubrania turyści - tłumaczą ci, co stale chodzą na klubowe wycieczki. I tłumaczą, że rasowy turysta powinien być przygotowany na każdy rodzaj pogody. Jak

do tej pory, w historii klubu wycieczka została odwołana tylko raz, i to dokładnie 5 lipca tego roku, kiedy upały z nad Sahary sparaliżowały życie kraju. - No niestety, trzeba było rezygnować, bo zwyczajnie nie dałoby się iść, a przecież wycieczki mają być przede wszystkim przyjemnością - mówi Małgorzata Szymczak.

A w klubie wspomina się wycieczki po drodze zamrożonej lodem jak szklanką, w marcowej śnieżycy, co to wówczas spadło 20 cm białego puchu lub też w deszczu, który sprawił, że klub poszukał suchego dachu u pewnego rolnika. Dach był, ale i ciasto na oślodę nie pogody.

Niedzielne wycieczki to trasy liczące po około 15 km, ale zdarzają się też i dłuższe.

Niedzielne wycieczki to główna statutowa działalność klubu. Najczęściej turyści chodzą wokół Gorzowa, bo jak mawiają, każda droga wygląda zawsze inaczej. I podają przykład trasy z Nierzymia do Santoczna, gdzie na jednym z drzew był przytwierdzony wizerunek św. Mikołaja. Po jakimś czasie Mikołaj zaczął tracić elementy



Klubu Turystyki Pieszej Nasza Chata na tysięcznej wycieczce.

wizerunku. Ostatnio zamiast mocno już zniszczonego portretu świętego z materiału, na sośnie pojawił się jego wizerunek, tyle że namalowany farbą. Bo jak się śmieją klubowicze, turyści nie lubią, jak coś w przyrodzie ginie.

Klub jednak stara się co jakiś czas wybrać gdzieś dalej, co w tym przypadku oznacza odległość dojazdu do punktu startu w drogę nieco więcej niż 50 km, bo są one jak na jeden dzień nieco zbyt długie.

Od kilku lat większość klubowiczów wyprawia się także poza region, na Pomorze Zachodnie lub na Dolny Śląsk. Nie są to wyjazdy stricte klubowe, ale organizują je klubowicze dla klubowiczów, a jak

wystarczy miejsc, to i zaprzyjaźnionych ludzi spoza. Zasada jest jedna: po minimalnych kosztach zobaczyć jak najwięcej i dobrze spędzić czas.

Do tradycji klubowej należą także jesienne weekendowe wypadki do Bledzewa. I też nie ma tam czasu na nudę, bo dzień wypełniony jest po brzegi - wycieczki piesze, kajakowe, wyprawy do Bledzewa właśnie. I oczywiście przyjemne spędzanie czasu wieczorem.

Do innych tradycji, nie tylko wycieczkowych należą stałe imprezy okolicznościowe. Jak tradycja nakazuje, klubowicze spotykają się na opłatkach. Jest barszcz, śledzie i jakaś inna rybka. Tradycyjnie stroik

przygotowuje Mirosława Jędruszcak-Pezda, w kuchni przy barszczyku króluje Joanna Wojciechowicz, a poprzedni prezes Leszek Mandela jest mistrzem grzańca.

Tradycją są także bale przebierańców. - Każdy się przebiera, jak chce, są konkursy na najlepsze przebranie, na parę przebraną w jednym stylu. Skoro ludzie lubią się bawić, to dlaczego nie tłumaczyć organizatorzy. A DJ klubowym jest zawsze Danuta Szeliłowska, która znakomicie poznała gusta klubowiczów.

Tradycją jest także spędzanie wspólnego sylwestra i także po jak najmniejszych kosztach i przy muzyce serwowanej przez Danutę Szeliłowską.

Kolejną tradycją - przestrzeganą i bardzo lubianą, jest tak zwane zakończenie sezonu obchodzone z reguły w marcu. Podczas wycieczki sumuje się aktywność uczestników, punktuje 10 najbardziej regularnie chodzących na wycieczki. Jest wspólna zupa, moment zabawy. A w następną niedzielę klub rusza w kolejną trasę.

Klub Turystyki Pieszej Nasza Chata powstał 17 stycz-

nia 1981 r. i od początku do dziś działa przy Klubie „U Szefera” Gorzowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej Staszica. Ojcami założycielami klubu byli: Małgorzata Nowakowska, Czesław Żołędziejewski, Krystyna Sowiak, Andrzej Skowroński i Paweł Duliniak. Z ramienia PTTK Zbigniew Kamiński i z ramienia spółdzielni Janusz Jarema. Pierwszym prezesem klubu zostaje Małgorzata Nowakowska. Na początku lat 90. jednak impet klubowy przygasa i następuje regres, który trwa do wiosny 1994 roku, kiedy się reaktywuje i bardzo szybko rozwija. Aktywnym klubem są Leszek Mendela, Anna Kowalska i Marek Bogusz. Potem dołączają inne osoby i klub rozrasta się do kilkudziesięciu osób. W szczytowym momencie klub liczy 188 osób. Obecnie jest to nieco ponad 50 osób.

Do chwili obecnej klub odbył 1050 wycieczek. Gdyby się znalazł ktoś, kto przeszedłby te wszystkie wyprawy, miałby na koncie 15 750 km. Rekordziści mają na liczniku około 9 tys. km.

RENATA OCHWAT

r e k l a m a

Karczma pod Łosiem na Farmie Wawrzynca

po renowacji Magdy Gessler ...

aromatyczne spotkania w pięknych okolicznościach przyrody: rodzinne, towarzyskie i firmowe

czynna: wtorek - niedziela 12.00 - 21.00
tel. 695 926 411
mail: karczmapodlosiem.pl

Gorzów Wlkp. - Wawrów
Osiedle Bermudy

Najlepiej się czuję tuż koło bieguna północnego

Ze Stefanem Piosikiem, przedsiębiorcą, podróżnikiem, myśliwym i fotografem, rozmawia Renata Ochwat

- Jak to się stało, że został pan podróżnikiem?

- Wszystko zaczęło się w 1978 roku. Pierwszy mój wyjazd to była podróż na Węgry, nad Balaton. Naczytałem się różnych książek i to był taki wymarzony świat. W tym świecie oprócz Balatonu to były jeszcze Samarkanda i Buchar w Azji Środkowej na Jedwabnym Szlaku i jeszcze Kaukaz. No i ten Kaukaz zrealizowałem, byłem tam. Ale do tej pory nie dojechałem ani do Samarkandy, ani do Buchar. Ale jeszcze będę.

- Pan już był prawie wszędzie, na wszystkich kontynentach...

- Tak, na wszystkich kontynentach za wyjątkiem Antarktydy. Ale siedziałem w Punta Arenas przy cieśninie Magellana i samolot czekał trzy dni na właściwe warunki, ale były okropne, a my mieliśmy dalej ustalone plany i nie mogliśmy już dłużej tam czekać, więc nie byłem na Antarktydzie.

- A gdyby pan miał wybrać swój ulubiony kontynent?

- Moim ulubionym miejscem, bo nie kontynentem, jest obszar. Świat wokół bieguna północnego.

- Surowe warunki.

- Surowe. Nawet nie idzie się umyć. Ale się doskonale oddycha, kapitalnie się człowiek czuje w tej dzicy, w tej samotności, w tych bezwzględnych warunkach.

- Czyli wyprawy za który równoleżnik?

- Najdalej byłem za 72 równoleżnikiem szerokości północnej (Gorzów leży na 52 N - red.).

- Pan podróżuje na te wszystkie kontynenty i obszary jako myśliwy?

- Trzeba powiedzieć tak, cała północ i Afryka to są wyjazdy myśliwskie. Natomiast Ameryka od Toronto, Vancouver na południe, to jest turystyka. Czyli jadę z aparatem fotograficznym i to są typowo turystyczne, poznawcze wyjazdy, jakie wybiera większość turystów. Choć te wyjazdy mają czasami i taki wymiar, że nagle stwierdzam - A ja chcę jeszcze na Falklandy. Typowy turysta już na Falklandy się nie wybiera. A ja jednak jadę na te Falklandy.

- Jak pan podróżuje? Z biurem turystycznym, sam?

- Zdecydowanie sam sobie organizuję wyprawę. Jadę z kolegami, czasami sobie doбираю kogoś do towarzystwa. Ludzie na wyprawach się czasami powtarzają. Dla przykładu - chcę jechać na północ, na Grenlandię, i nie ma chętnych. Ale w końcu się znajdują. Podobnie jest z Syberią. Na początku nie ma za bardzo chętnych, ale w końcu ktoś tam zawsze się znajdzie. Bierzymy namioty i jedziemy. Na tym to polega.

- Ale na czym polega przygotowywanie wyprawy na Syberię czy za Koło Podbiegunowe?

- Na początek muszę poznać warunki, w jakich będę. Potem doбираю odpowiedni sprzęt, leki. Trzeba pamiętać, że na Syberii, generalnie na północy nie ma zasięgu telefonii komórkowej, inne sposoby łączenia się ze światem są trudne. Ponieważ mam doświadczenie w tym przedmiocie, to łatwiej mnie się podróżuje. Oczywiście ważne jest też, żeby być zdrowym. Jak jadę do Afryki, to mam wszystkie szczepienia. Mam tak zwany żółty paszport, tam są potwierdzone wszystkie szczepienia i pokazuje się go na granicy. Oczywiście także się ubezpieczam.

- Wyjeżdżacie z Gorzowa, i jedziecie jak...

- Najpierw samochodem, potem samolotem tak daleko, jak się da. A potem jak jest możliwość samochodem, to samochodem, jak trzeba koniem, to się jedzie koniem. Wykorzystuje się pływy wodne, a na Syberii jeździ się też takimi pojazdami na gąsienicach, które dobrze sobie radzą na wiecznej zmarzlinie. Ale też wykorzystuje się takie małe samoloty, mieści się w nim tylko pilot i jeden pasażer - to w Kanadzie i na Alasce. I znów się przemieszcza do najbardziej odległego punktu, dostępnego dla takiego samolotu. A potem dalej, to czym już można. Na Jukonie zwykle następnym środkiem transportu jest koń zwany white horse, biały koń, albo biała grzywa, bo tak się to tłumaczy. Za to na Alasce jest death horse, czyli martwy koń. I dlatego tam już



Wyprawa to jednak zupełnie co innego niż turystyczny wyjazd z biurem podróży.

koni nie ma. Stąd jest wybór samolotu, który ląduje zimą i latem. I to jest element ryzyka, ale ci północni piloci potrafią idealnie to robić, znaczy lądować w nieprawdopodobnych warunkach. Potem taki pilot nas zostawia i my rozbijamy namiot, idziemy z bronią, bo wśród wilków i niedźwiedzi się żyje.

- Zdarzyło się panu żałować, że zabrał pan kogoś ze sobą na wyprawę?

- Nie. To są dobrani ludzie. Obowiązuje kardynalna zasada, że każdy dba o siebie, każdy przede wszystkim walczy o siebie na Północy.

- Jak to rozumieć?

- Każdy przede wszystkim musi walczyć o siebie tak jak w himalaizmie. Jeśli ja nie jestem zagrożony, mogę pomóc drugiemu, jeśli zagrożenie dotyka mnie, to myślę przede wszystkim o własnym bezpieczeństwie. Surowe zasady, ale takie są.

- Jeździ pan ekstremalnie daleko, w ekstremalne warunki. Czy wydarzyło się panu jechać nieekstremalnie, jak dla przykładu na Costa Brava i posiedzieć tam na plaży ze dwa tygodnie?

- Zdarzyło mnie się pojechać na Majorkę. Po dwóch dniach leżenia pod takim daszkiem z trzciny przy ciepłej wodzie, co wydarzyło mnie się 20 lat temu, wtedy poszedłem do wypożyczalni po samochód. To był ford Ka. I objechałem całą Majorkę w ciągu tych dwóch tygodni, no bo co było innego robić? No bo tak leżeć? Można leżeć. Ja zresztą podziwiam tych ludzi, co to potrafią tak leżeć. Ale ja z pewnością nie umiem.

- Kosztowne są te pana podróże?

- Różnie bywa. Jak jadę na północ, to tam nie ma hotelu z kilkoma gwiazdkami. Jest namiot. Nie ma kelnera, nie ma kucharza. Jestem sam i sam sobie to wszystko robię. Nawet skarpety piorę.

- Na ilu wyprawach pan już był?

- Nie wiem, naprawdę, musiałbym policzyć. Wiem natomiast, bo ostatnio policzyłem, że byłem w 72 krajach. Jedne wyjazdy to są wyprawy, inne to takie turystyczne wyjazdy. Turystyka to coś takiego, co robią wszyscy. A wyprawa, to już zupełnie co innego, zwłaszcza jak się jedzie z bronią.

- Potrzebne jest chyba specjalne pozwolenie na takie przewożenie broni przez granicę?

- Tak, mam Europejską Kartę Broni. Mam licencję zawodowego myśliwego Alaski, podobnie w Ontario, British Columbia i na Jukonie w Kanadzie.

- Jak się uzyskuje licencję zawodowego myśliwego?

- W odpowiednim dla myśliwych biurze uzgadnia się zasady. Potem jak już się zacznie polować, i ci urzędnicy stwierdzą, że myśliwy robi to dobrze, znaczą poluje, wówczas wydają takie licencje. Po prostu trzeba taką licencję wypracować. Jak już ktoś przyjeżdża z bronią, to wiadomo, że jest myśliwym, a nie jakimś tam amatorem. Jeszcze się nie zdarzyło, aby myśliwy gdzieś tam kogoś postrzelił, no chyba że ta druga osoba zachowa się nieprofesjonalnie.

- Czy jest takie zdarzenie, którego pan nie zapomni?

- A, jest. Jestem na Syberii w dorzeczu rzeki Leny, około tysiąca kilometrów na północ

od Bajkału. Ostatni dzień wyprawy, wracam konno do takiego punktu zbornego. Ze mną jest dwóch przewodników, jeden jedzie z przodu, drugi z tyłu. Jest wcześniej rano, wszystko jest załadowane na konie, ja też. Mamy przed sobą około 11 godzin jazdy. No i jak mówię, jest szarówka. Nagle koń się płoszy, mimo tego, że w miarę jeżdżę konno, to jednak trochę trudno go opanować, wpada na tego wierzchowca z przodu, staje na tylnych nogach, ja go naturalnie ściągam, no i się obśuwam z siodła, bo na siodło miałem kufajkę założoną, chwytając ręką, nie chwyciłem metalowego łuku, a to było kozackie siodło, tylko chwyciłem za tę kufajkę i spadłem na ziemię. Koń dalej pobiegł z przodu. Ja upadłem i taki przeszedł mnie prąd od ucha przez kręgosłup do nogi. Leżę, nie czuję kręgosłupa, nie mogę ruszyć ani nogą, ani ręką. Jestem sparaliżowany. Ale na szczęście mózg pracuje i ja wszystko słyszę. I tak sobie myślę, po różnych krajach na świecie byłem, a tu mi przyszło na tej Syberii zostać. A ja tak chciałem zobaczyć, jak Polacy tutaj żyli, a tu mnie przyjdzie zostać. W tej chwili podjeżdża konno Rosjanin. Dotyka mojej szyi, potem podnosi rękę, i ta ręka mi opada i mówi do drugiego „On nieżył”. Mijają kolejne minuty, oni chodzą koło mnie, nie bardzo wiedzą, co z tym wszystkim zrobić. Mijają znów następne minuty, ja zaczynam coraz bardziej aktywnie myśleć - Jakby on mi jeszcze raz tę rękę podniósł, a ja bym ścisnął mięśnie, to może by ta ręka już nie opadła. No i w tym momencie zaczął się wydobywać z gardła mój głos. I tak wolno mówię „Iwan podnimaj ty mienią ruku” (Podnieś moją rękę - red.). On podniósł, ręka się zatrzymała, widać czas zregenerował nerwy. Potem poprosiłem, żeby mnie postawił na nogi. Wtedy obydwaj mnie podnieśli, przytrzymali i ja zacząłem czuć nogi. Jeszcze minęło z jakiegoś pół godziny, no i decyzja, jedziemy dalej. Ja się zgodziłem, ale poprosiłem o innego konia, a nie Tajfunę, bo tak się nazywał ten, z którego spadłem.

Dostałem innego konia, jakoś mnie na niego zapakowali i ruszyliśmy w drogę. Jakoś dojechaliśmy do punktu centralnego, stamtąd do Irkucka. Tu spotkałem Polonię i nawet rozmawiałem z lekarką, ale zdecydowałem, że pojedę do Moskwy i tam pojedę do szpitala, jak już byliśmy w Moskwie, to pomyślałem sobie, że dojadę do Warszawy, w Warszawie, że do Gorzowa, a tu wylądowałem w szpitalu.

- Diagnoza?

- Okazało się, że mam pękniętą, a właściwie połamaną żebra. Ale po dwóch latach jechałem na Jukon. Jechałem jeszcze z jednym kompanem. Jeden z nas miał pokonywać odległość łodzią, drugi konno, mieliśmy się spotkać po dwóch tygodniach w określonym punkcie. Ja oczywiście wybrałem konia, bo przecież drugi raz nie spadnę. No i rzeczywiście nie spadłem.

- A po Polsce też pan jeździ?

- Jeżdżę i prawie wszędzie już byłem. Mam taki cykl 16 albumów „O Polsko ty moja”. Przynajmniej takie było założenie. Bo wydałem jeden, od Ławy do Bałtyku, czyli trasę kanału ośrodko-elbłaskiego. A następne się nie ukazały.

- Z jakiej przyczyny?

- Na całej ścianie wschodniej porobiłem zdjęcia. Te zdjęcia miałem w formie plików na kartach pamięci. I nawet nie wgrałem ich do bazy danych na dysk. No i pech chciał, ktoś się włamał do mojego samochodu i ukradł komputer wraz z tymi kartami pamięci. No i najbardziej mi szkoda właśnie wschodnich terenów Polski. Polska zresztą jest cały czas w moim zasięgu, bo obiecałem sobie, że Polskę zostawię sobie na starsze lata (śmiech).

- To gdzie się pan teraz wybiera?

- Na Madagaskar. Ale wcześniej do polskiego Mielna.

- Na Madagaskar fotograficzni czy myśliwsko?

- Turystycznie i fotograficznie, może jeszcze wędkarsko. Myśliwsko nie ma po co, tam tylko lemury są, takie fajne zwierzązki.

- Dziękuję za rozmowę i udanych wypraw.

Nadal mamy rezerwy i motywację

Z Karoliną Nają, kajakarką AZS AWF Gorzów, rozmawia Robert Borowy

- W drugiej połowie sierpnia w Mediolanie odbędą się mistrzostwa świata. Walka będzie toczyła się nie tylko o medale, ale także o kwalifikacje olimpijskie. Czy całe tegoroczne przygotowania pani ułożyła właśnie tej imprezie?

- Oczywiście. Zawody zapowiadają się na wyjątkowo trudne, gdyż wszystkie ekipy przyjadą zmobilizowane, bo nie wywalczenie na tej imprezie kwalifikacji będzie w praktyce odznaczające wypadnięcie z walki o przyszłoroczne medale w Rio de Janeiro.

- Za panią są już dwa ważne tegoroczne starty międzynarodowe. Z mistrzostw Europy przywoziła pani trzy medale, natomiast w Pucharze Świata w Duisburgu wywalczyła pani dwa srebrne krążki. Jak ocenia pani te występy?

- Jestem bardzo zadowolona szczególnie ze startu w Pucharze Świata, ponieważ obsada naszych konkurencji w K-2 i K-4 na olimpijskim dystansie 500 metrów była bardzo silna. Pojechałyśmy tam prosto po ciężkich treningach. Dlatego brakowało nam świeżości, ale to było w kalkulowane. Skoro jednak pływałyśmy na poziomie drugich miejsc, znaczy że podążamy właściwą drogą. Powiem więcej, zarówno nasz trener jak i cała ekipa dziewcząt jesteśmy zadowolone z obecnie wypracowanego poziomu sportowego.



Karolina Naja, kajakarka AZS AWF Gorzów

- W sporcie wszystko jest możliwe, ale nie wyobrażam sobie, żeby miała pani nie pojechać na igrzyskach za rok. Czy gdyby dzisiaj miała pani określić swoje możliwości sportowe, to czy czuje się pani lepszą zawodniczką niż w 2012 roku w Londynie, gdzie był brązowy medal?

- Cały kajakarski świat idzie mocno do przodu. Ja z Beą Mikołajczyk, z którą pływałam w dwójce, miałam naprawdę dobre dwa poprzednie sezony. Cały czas pływałyśmy na najważniejszych imprezach na poziomie miejsc na podium. Obecny też na razie przebiega zgodnie z planem. Myślę, że rozwinęłyśmy się jako osada sportowo, nabrałyśmy sporego doświadczenia. Najważniejsze, że

wyciągamy wnioski z błędów, jakie przytrafiły nam się na początku współpracy. I dobrze, że te błędy ciągle się uwidaczniają, bo gdyby było idealnie, mogłybyśmy się zacząć bać same siebie. A tak nadal czujemy, że mamy rezerwy i dużą motywację do ciężkiej pracy treningowej. Obecny rok jest naprawdę zabójczy. Ponad 250 dni będziemy na zgrupowaniach i zawodach. Mamy jednak nad czym jeszcze pracować, bo widzimy jak szybkie są rywalki i żeby liczyć się najpierw w mistrzostwach świata, potem w igrzyskach, nie możemy pozwolić sobie nawet na chwilę oddechu.

- Rozwój kajakarstwa na świecie jest szczególnie widoczny po rosnącej liczbie krajów, które zaczynają li-

czyć się w walce o medale. Czyli trudno w tej chwili przewidywać, kto będzie dominował w mistrzostwach świata, a potem za rok w igrzyskach olimpijskich?

- Rzeczywiście, to już nie te czasy, że po większość medali sięgały kajakarki z 3-4 krajów. Przykładem niech będzie Nowa Zelandia, która jeszcze parę lat temu nie była widoczna wśród kobiet. Obecnie ich gwiazdą jest Lisa Carrington, mistrzyni olimpijska z Londynu, aktualna mistrzyni świata w jedynce. I za jej przykładem zaczęto budować z bardzo młodych zawodniczek silną czwórkę. Talenty daje się zauważyć u Brazylijek, mamy medalistkę igrzysk olimpijskich z RPA, etatowymi me-

dalistkami są nasze konkurentki z Białorusi. Można tutaj wymienić całą listę państw, z których zawodniczki mogą sprawić faworytkom psikusa. Wynika to z większego zaangażowania różnych krajów w naszą dyscyplinę. Łożą one coraz większe pieniądze, tworzą plany rozwoju, zatrudniają dobrych trenerów i przynosi to efekty. Dalej jednak potęgą są Węgierki. Swoją drogą w tym sezonie na razie mało pokazują się one na międzynarodowych akwenach, przygotowując się zapewne do... wewnętrznych kwalifikacji, które rozstrzygną, jakie osady popłyną w mistrzostwach świata.

- Siłą naszej kobiecej reprezentacji wydaje się być zespół, bo przecież z każdych zawodów wspólnie przywozicie wiele medali. Gdzie należy szukać źródeł tego sukcesu?

- Nie chciałabym oceniać tutaj systemu szkolenia, bo na pewno lepiej uczyniłoby to trenerzy. Natomiast w przypadku naszej grupy myślę, że największym atutem jest pasja. Do wszystkiego podchodzimy z pełnym zaangażowaniem. Nie tylko zresztą my, ale cały sztab w reprezentacji jest oddany temu co robi.

- A jak pani w ogóle czuje się w reprezentacji Polski, jako jedna z ważniejszych członkiń tej drużyny?

- Bardzo dobrze. Przede wszystkim po tylu latach pływania czuję się też pewniej i jednocześnie zdałam

sobie właśnie sprawę, że muszę jeszcze intensywniej trenować, bo w każdej chwili może pojawić się ktoś młodszy, lepszy i nikt mnie nie będzie trzymał w drużynie za zasługi. Coraz liczniejsze jest grono naprawdę utalentowanych dziewcząt. Jedna z nich niedługo być może przyjedzie do Gorzowa i zasili nasz klub. To Anna Puławska, dwukrotna mistrzyni świata juniorek.

- Pochodzi pani z Tychów, ale z gorzowskim klubem jest już pani związana od wielu lat. Utożsamia się pani z naszym miastem?

- Tak, przecież nadal tu studiuję. Niestety, ze względu na wspomniane miesiące pobytu na zgrupowaniach i zawodach jestem w Gorzowie rzadko, ale jesienią zapewne przyjadę na dłużej. Żałuję również, że nie mam czasu pojechać do rodzinnego miasta, gdzie mieszkają moi rodzice. Ostatni raz byłam tam na świętach Bożego Narodzenia. A lubię rodzinne strony, bo kocham góry. I po sezonie zawsze staram się choć na chwilę tam pojechać, pochodzić. W zeszłym roku byłam dumna z siebie, gdyż w jeden dzień zaliczyłam Orleja Perci, najtrudniejszy tatrzański szlak.

- Jak jest już pani w Gorzowie, to trenuje pani na Warcie?

- Wolę w Lubniewicach, gdyż jest tam stojąca woda. Do tego jest fajne otoczenie i spokój.

- Dziękuję za rozmowę.

reklama



Wielospecjalistyczny Szpital Wojewódzki w Gorzowie Wielkopolskim
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

TWOJE ZDROWIE - TWÓJ SZPITAL



NOWE ATRAKCYJNE CENY BILETÓW
OD 1 MAJA NA LINIACH DO:

Kudowy Zdrój, Karpacza, Poznania; w wakacje również do Świnoujścia

szczególności: www.pks-gorzow.pl



Graliśmy w strojach uszytych z restauracyjnych obrusów

Z Leszkiem Janowiakiem, honorowym prezesem gorzowskiej Warty, rozmawia Robert Borowy

- „Legenda w sercu miasta” - pod takim hasłem działa dzisiaj piłkarska Warta, najstarszy gorzowski klub, który w pewnym momencie został przeniesiony do lamusa, jednak powrócił do świata żywych. Czyżby legenda zwyciężyła?

- Legenda na pewno, ale na pierwszym miejscu wymienilibym tu ludzi. Niewielu ich było, ale udało się doprowadzić do tego, że dzisiaj Warta może z podniesioną głową obchodzić jubileusz 70-lecia działalności. Jeszcze kilka lat temu nie było takiej nadziei. Na szczęście znaleźli się byli zawodnicy noszący Wartę w sercu i przy pomocy jednej z firm zbudowali drużynę, z którą zgłosili się do klasy B. Takimi inicjatorami byli przede wszystkim Sebastian Jarmuszka, Sławomir Wrzosek i kilku innych chłopaków wywodzących się z byłych drużyn juniorów. Mogli oni grać pod innym szyldem, ale gdzieś ta miłość do Warty zwyciężyła. I tak, krok po kroczku od tych siedmiu lat trwa odbudowa sekcji piłkarskiej. Nie kryję, że jestem dumny, gdyż od 2002 roku działalność w Warcie była zawieszona, a ja w pewnym momencie pozostałem sam. Wziąłem nawet do domu sztandar klubowy i sporo pamiątek. W pojedynkę nie mogłem zrobić dosłownie nic. I kiedy przyszli do mnie chłopacy z propozycją, żeby nie zwinąć klubu, poczułem się jakbym po raz drugi narodził się sportowo.

- Powróćmy do historii. Jeszcze w trakcie działań wojennych, 1 maja 1945 roku przybyli do Gorzowa kolejarze zagrać piłkarski mecz z żołnierzami Armii Czerwonej. Po zaledwie dwóch tygodniach powstał Kolejarsz, który dał początek późniejszej Warcie. Działanie było isticie sprinterskie. Z czego ono wynikało?

- To byli młodzi ludzie, którzy po prawie sześciu latach poczuli wreszcie wolność i zaczęła u nich buzować energia. Z rana biegli do pracy czy odgruzowywania miasta, a popołudniami chcieli trochę się rozerwać. W piłkę było najłatwiej grać. Wystarczyło położyć kamienie imitujące bramkę, wziąć popularną szmacianą gałkę i już można było pokopać. W tej grupie znalazł się Paweł Macierzewski, który szybko



To był pożegnalny mecz Leszka Janowiaka w barwach Warty...

zainicjował zebranie. Z marszu powołano klub z czterema sekcjami. Trzeba przyznać, że było to rzeczywiście mistrzostwo świata, żeby po sześciu dniach od zakończenia wojny w Gorzowie działał już klub sportowy. Taki rodzinny klub. W jednej ze starszych monografii klubowej można wyczytać całą listę braci i sióstr, którzy reprezentowali Wartę w różnych dyscyplinach, bo w całej historii było u nas 16 sekcji. Niektóre narzucano nam odgórnie po linii partyjnej, jak brydż, ale większość powstała z inicjatywy członków.

- W tym czasie brakowało wszystkiego, poczynając od butów, strojów, piłek, ale i trenerów. A jednak w ciągu kilku miesięcy drużyna piłkarska rozegrała ponad 20 meczów. Tak duża była chęć w ludziach, żeby jak najszybciej uciec od złych wojennych wspomnień?

- Sport w tym czasie jednoczył napływowe społeczeństwo. Piłka w szczególności. Na ulicy ludzie początkowo się mijali, dopiero na stadionie nawiązywali kontakty. Z opowiadań starszych kolegów, którzy budowali w ogóle sport w Gorzowie, wysuwał się jeden wniosek: sport stał się głównym czynnikiem integrującym lokalność. I nikt nie narzekał na niedogodności. Nie było piłek, to się działało, żeby je zdobyć. Brakowało strojów, to się je szyło. Pamiętam już za moich czasów, jak na-

szym trenerem był Edward Kassian, który jednocześnie był kierownikiem w Casablance. I załatwił do restauracji większy przydział obrusów, z których potem uszył nam koszulki i spodenki. Ponadto w tamtych latach ludzie mieli we krwi działalność społeczną. W każdych okolicznościach umieli się zorganizować. Może dlatego, że nie siedziało się w domu przed telewizorem lub komputerem, bo tego jeszcze nie było. Co najwyżej słuchało radia. Ja nadal czuję w sobie tę energię do działania, zrobienia czegoś dla innych. I nie dziwię się, że zaraz po wojnie młodzi ludzie byli naładowani chęcią rywalizacji sportowej. To ich napędzało do robienia czegoś pożytecznego. Nasi piłkarscy pionierzy, zanim w 1946 roku przystąpili do cyklicznych rozgrywek, co chwilę grali mecze towarzyskie. To było bardzo dobre w perspektywie budowy drużyny. Po zaledwie 10 miesiącach działalności Kolejarsz jako nowicjusz przystąpił do klasy C. W pierwszym ligowym meczu wygrał u siebie z Piłą. To było dla Gorzowa święto.

- Już po kilku latach Kolejarsz, który nazwę na Wartę zmienił w 1957 roku, znalazł się w poznańskiej lidze okręgowej. Potem była lubuska liga okręgowa, liga międzywojewódzka. Były lata, że Warta walczyła o awans do drugiej ligi, ale nigdy nie dopięła tego celu. Dlaczego?

- Bo „wielka” piłka skończyła się u nas, kiedy w Polsce futbol zaczął stawać się zawodowy. Zaczęły się pojawiać duże pieniądze, transfery, fikcyjne etaty. To było w pierwszej połowie lat 70. Od tamtego momentu u nas dalej królowało amatorsztwo, gdzie indziej, choćby w Stilonie, nieźle już zawodowstwo. Byliśmy klubem typowo środowiskowym. Były lata, że byliśmy lepsi od Stilonu, ale kiedy zakład mocniej zaczął inwestować w klub nie mieliśmy już z nimi szans.

- Futbol zawsze był wiodącą sekcją klubu, lecz były czasy, że Warta liczyła się w innych dyscyplinach - badmintonie, brydżu, lekkoatletyce, szachach, kolarstwie, pływaniu, podnoszeniu ciężarów, tenisie stołowym, a nawet w piłce ręcznej. W historii klubu było sporo medali mistrzostw Polski. Społeczeństwo Ignęło wtedy do sportu, dzisiaj jest chyba inaczej?

- Nie odważyłbym się nawet porównywać. Młodzi ludzie w latach powojennych czy nawet trochę późniejszych w uprawianiu sportu widzieli swoją szansę. Mieli ku temu też predyspozycje oraz samodyscyplinę. Trening był świętością, a co dopiero mecz. Deszcz, śnieg, wiatr - nikt takimi niedogodnościami się nie przejmował. Kto nie był sumienny wypadał ze sportowego towarzystwa. Uprawianie sportu, nawet na amatorskim pozio-

mie, wcale nie jest przyjemne. Ileż to razy wracałem po treningach cały obolały, zmęczony. Bywało, że po schodach wchodziłem tyłem. Były chwile, że nic się nie chciało, ale gdzieś tam po drugiej stronie była ta radość, która przebijiała się w chwilach zwycięstw. Jak zaczynałem grać w Warcie na mecze tego zespołu przychodziło po kilka a nawet kilkanaście tysięcy ludzi, jak na słynny mecz barażowy o wejście do drugiej ligi z Pogonią Szczecin w 1957 roku. Trenerem drużyny był wtedy Władysław Piec. Dzisiejsza młodzież ma słaby charakter. Są to najczęściej chłopcy wysocy, szczupli, ale nie mają siły. Wychowanie fizyczne w szkołach praktycznie siadło, co drugi młody człowiek walczy z jakimiś urazami, płaskostopiem, powykrywianymi kręgosłupami. Moim zdaniem to już jest choroba cywilizacyjna, choć ostatnio zauważam drobne acz pozytywne zmiany. Od kilku lat poprawiają się warunki do szkolenia dzieci i młodzieży. Powstają orliki, samorządy zaczynają łożyć więcej pieniędzy, dobra gra reprezentacji napędza dzieciaków do tego sportu. Rodzice zaczynają coraz bardziej się angażować. Może właśnie nadchodzi czas odchodzenia od komputerów i przychodzenia na obiekty portowe. Ważne tylko, żeby rodzice nie traktowali swoich dzieci jako maszynek do zarabiania pieniędzy. Znam już takie sytuacje, że ojcowie biegali po klubach, domagali się kontraktów a dzieciaki miały tego wszystkiego dość i odechciewało im się dalszych treningów.

- Panie prezesie, jak układała się współpraca gorzowskich klubów w dawnych latach, a szczególnie Warty i Stilonu?

- Byliśmy kolegami, często po meczach spotykaliśmy się, bawiliśmy, z czasem nawiązały się przyjaźnie. Bywało, że nawzajem chrzciliśmy dzieci, zapraszaliśmy się na urodziny, imieniny. Nasze rodziny też się dobrze znały. Poza boiskiem byliśmy kolegami, ale na murawie przez 90 minut nikt nikomu nie odpuszczał. Kibice byli co prawda podzieleni, ale na pewno nie było pomiędzy nim nienawiści. Pamiętam czasy, że Warta miała większe grono sympatyków, może dlatego, że grała w

śródmieściu i była bardziej gorzowska. Współpraca międzyklubowa również najczęściej układała się dobrze. Jak Stilon odniósł sukces, to zawsze szła od nas delegacja z gratulacjami. Zresztą do dzisiaj się szanujemy i pomagamy sobie w różnych sytuacjach. Przypomnę, że miałem okazję na początku obecnego wieku być trenerem Stilonu.

- W 2002 roku Warta została praktycznie zlikwidowana, ale nie zapomniana, czego dowodem jest to, że od wielu lat stowarzyszenie znowu działa, ma drużynę w lidze okręgowej, szkoli juniorów. Jakie więc aspiracje sportowe ma klub na najbliższe lata?

- W szybkim tempie rozwijamy się, mamy sześć grup młodzieżowych, a przecież jeszcze niedawno nie mieliśmy, gdzie trenować. Razem z seniorami w klubie jest 167 zawodników. Na szczęście po latach tułaczki powróciliśmy do wynajętego domu, czyli na stadion przy ul. Dąbrowskiego. Duża w tym zasługa obecnych działaczy z prezesem Zbigniewem Pakulą na czele. Jego małżonka, pani Karolina również oddaje serce klubowi. Tyle, ile ona robi dla dzieciaków i samego klubu, to naprawdę trzeba być optymistą, co do przyszłości Warty. Jestem dumny z tego co widzę. Szkoda tylko, że miasto nie do końca docenia pracę wkładaną przez działaczy.

- Dlaczego Gorzów nie może zbudować silnej drużyny na poziomie przynajmniej drugiej ligi?

- Brakuje kogoś bogatego, który jednocześnie oddałby serce budowie drużyny na grę w wyższej lidze. Futbol zawodowy rzadzi się swoimi prawami, ale bez pieniędzy nic się nie robi. Największe możliwości zbudowania drużyny na grę przynajmniej w drugiej lidze mają działacze Stilonu. Robią oni bardzo dużo pozytywnych rzeczy, ale nie są w stanie pokonać poprzeczki na dużej wysokości. Problem nie dotyczy zresztą tylko Gorzowa, ale całego naszego województwa.

- Dziękuję za rozmowę.

Od redakcji: Polecamy również całą rozmowę na portalu echogorzowa.pl, gdzie dołączone jest galeria historycznych zdjęć.

Nie mogliśmy się dopasować do angielskiej nawierzchni

Z Andrzejem Pogorzelskim, byłym żużlowcem i trenerem Stali Gorzów, rozmawia Robert Borowy.

- **Podoba się panu dzisiejszy żużel?**

- To zależy, jak na niego spojrzemy. Jako sport nadal mnie ekscytuje, lubię go oglądać. Jako były reprezentant Polski, a przede wszystkim szkoleniowiec ubolewam na tym, że kluby wolą kontraktować zagranicznych zawodników, a nie skupiają się na solidnej pracy z naszą młodzieżą. Jeżeli nie nastąpi opamiętanie, za rok, dwa znacznie brakować polskich żużlowców. I kim wtedy działacze obsadzą zespoły ligowe. Zawodnikami zagranicznymi?

- **W sportowym dorobku ma pan mnóstwo wartościowych sukcesów, z których na czoło wysuwają się trzy złote medale drużynowych mistrzostw świata. Czy z perspektywy kilkudziesięciu lat od zakończenia kariery ma pan niedosyt, że czegoś nie udało się zdobyć, na czym panu zależało?**

- Oczywiście, zawsze wracam pamięcią do indywidualnych mistrzostw Polski. Nigdy nie stanąłem na najwyższym stopniu podium. W latach 1964-66 trzykrotnie zdobywałem brązowy medal w Rybniku. Trudno tam się walczyło z koalicją miejscowych zawodników, ale przynajmniej raz mogłem wygrać. Nie udało się. Podobnie jak nigdy nie otarłem się o podium w indywidualnych mistrzostwach świata, choć wystąpiłem w czterech finałach.

- **W tym drugim przypadku problem tkwił chyba w legendarnych stadionie Wembley, na którym nigdy Polakom nie szło najlepiej...**

- Trzy razy pojechałem tam w finale i każdorazowo byłem dziewiąty. Nie było to złe osiągnięcie, ale aspiracje miałem większe. Na Wembley nie szło nam, gdyż tam była specyficzna nawierzchnia toru, przypominająca dzisiejsze granity. Tyle, że były to czasy, gdzie w Polsce ścigano się tylko na grysie żużlowym. I kompletnie nie mogliśmy się dopasować do tej angielskiej nawierzchni. Jeżeli częściej byśmy się na tym torze ścigali, zapewne udałoby się rozgryźć jej konsystencję. Kłopot w tym, że startowaliśmy tam sporadycznie. Raz, czasami dwa razy w roku. I nie było kiedy spokojnie popracować nad ustawieniem motocykli.

- **Był pan zawodnikiem, trenerem. W której roli czuł się pan lepiej?**

- Jako zawodnik jeździłem na własne konto lub zespołu. Jako trener odpowiadałem za dużą grupę ludzi i powiem panu, że sporą radość sprawiało mi, jak mój wychowanek stawał się czołowym zawodnikiem najpierw Polski, potem świata. Kiedy Edek Jancarz czy Zenek Plech stawali na podium indywidualnych mistrzostw świata, rozpierała mnie duma, choć wtedy jeszcze jeździłem. Po zakończeniu kariery wyszkoliłem kolejną grupę znakomitych zawodni-



Fot. Archiwum

Andrzej Pogorzelski - urodził się 12.10.1938 roku w Lesznie. Karierę żużlową rozpoczął w wieku 18 lat, ale już po rocznej jeździe w Unii przeniósł się do Startu Gniezno. W 1962 roku przeszedł do beniaminka ekstraklasy - Stali Gorzów. Z naszym klubem związał się na 11 sezonów, po czym powrócił do macierzystej Unii Leszno. Przygodę ze sportem jako zawodnik zakończył w 1976 roku, ale potem przez wiele lat szkolił zawodników w różnych klubach.

Pięciokrotny finalista drużynowych mistrzostw świata, zdobył 3 złote (1965, 1966, 1969) oraz jeden srebrny medal (1967). Czterokrotnie pojechał w finałach IMS. W latach 1965, 1967 i 1969 startował na Wembley i każdorazowo zajmował 9 miejsce. W 1966 roku wystąpił w Goeteborgu i uplasował się na 12 pozycji. Trzykrotnie brązowy medalista IMP (1964-66), ośmiokrotny medalista DMP (1 złoty, 5 srebrnych i 2 brązowe). Ma w dorobku też Złoty Kask zdobyty w 1966 roku. W latach 1965, 1966 i 1969 zajmował w tych rozgrywkach drugie miejsce. Wychowawca wielu znakomitych gorzowskich żużlowców.

ków, ot choćby Romka Jan-kowskiego. Dlatego praca trenerska dała mi mnóstwo radości i w tej roli czułem się zdecydowanie lepiej.

- **Często gwiazdy sportu są indywidualistami. Pan jednak najlepiej czuł się w pracy zespołowej, czego dowodem są wspomniane złote medale z drużyną Polski w mistrzostwach świata, liczne sukcesy ze Stalą Gorzów na krajowym podwórku oraz efekty pracy trenerskiej.**

- Tak, lubiłem pracę w szerszym gronie ludzi. Nigdy nie uważałem się za gwiazdę, zawodnika noszącego głowę w chmurach. Owszem, byłem zawiedziony, jak czegoś nie wygrałem, ale ponad wszystko stawiałem na pracę zespołową.

- **Pochodzi pan z Leszna, prawdziwego żużla uczył się w Gnieźnie, największe sukcesy odnosił w Gorzowie, ale potem powrócił pan w rodzinne strony. Często jednak odwiedza pan nasze miasto. Czyli te 10 lat startów tutaj nie poszło w niepamięć?**

- Gorzów to mój drugi rodzinny dom, gdzie mam mnóstwo przyjaciół i na każde zaproszenie wsiadam w pociąg i przyjeżdżam tu z wielką radością. Pamiętam, jak w 1961 roku Stal awansowała do ekstraklasy i zaproponowała mi zmianę barw klubowych. Start Gniezno jeździł wtedy w drugiej lidze, ja chciałem rozwijać się sportowo i nawet se-

kundy nie wątpiłem w to, że oferta gorzowian to moja szansa. I nigdy potem nie żałowałem tego kroku, gdyż w krótkim czasie stałem się czołowym polskim żużlowcem, Stal zaczęła zdobywać medale w lidze i to była przepustka do jazdy w najważniejszych imprezach światowych. Do tego bardzo dobrze czułem się w nadwarciańskim środowisku. Mieliśmy wspaniałych kibiców i dobrą opiekę ze strony zakładu patronackiego.

- **A jak wspomina pan mecze derbowe ze Zgrzeblarkami Zielona Góra?**

- W czasach moich występów w Stali tych spotkań za dużo nie było, gdyż zielonogórzanie częściej jeździli w drugiej niż w pierwszej lidze. Ale jak już się spotykaliśmy, to były to duże wydarzenia. Pamiętam, że nasi kibice wszystko mogli nam wybaczyć oprócz przegranej z Zielonką. Bardzo przeżywali te pojedynki, to już były czasy „świętej wojny”. Kiedy jechaliśmy na mecze do Zielonej Góry, to dla bezpieczeństwa milicja pilotowała nasz autobus już od Sulechowa wprost na stadion i z powrotem odtransportowywała także do rogatek Sulechowa. Muszę jednak zaznaczyć, że z zawodnikami ze Zgrzeblarek mieliśmy dobre kontakty, szanowaliśmy się na torze, choć w większości spotkań nasza dominacja nie podlegała dyskusji.



DMP 1969 roku: A. Pogorzelski, J. Padewski, E. Pilarczyk, E. Migoś, R. Dziatkowiak. Na motocyklu: Z. Szarabajko i E. Jancarz. Niżej: M. Pilarczyk i W. Jurasz.



Tak cieszyli się po zdobyciu złota DMS w 1969 roku w Rybniku Andrzej Pogorzelski, Henryk Gluecklich, Andrzej Wyglenda, Stanisław Tkocz i Edward Jancarz.

Często są niemiłosiernie katowane, ale to wytrzymują i wiernie służą

Z Tadeuszem Sienkiewiczem, prezesem spółki Auto-Bis, rozmawia Ryszard Romanowski

- Siedziba Auto - Bis wygląda teraz imponująco. Od niedawna w salonie jest konfigurator 3D, specjalne miejsce do wydawania samochodów, kącik dla dzieci i wiele innych efektowych rozwiązań. Jak to wyglądało 15 lat temu?

- W porównaniu z tym co jest teraz, w 2000 roku warunki były spartańskie. Salon mieścił się w starym pawilonie Spółdzielni Motoryzacyjnej przy ul. Koniawskiej. Pamiętam jak wielkie było wtedy napięcie nerwowe. Musieliśmy w ciągu trzech tygodni rozpocząć pracę, ponieważ dealer ze Szczecina, który działał również w Gorzowie zamknął działalność. Naszym zadaniem stało się utrzymanie salonu marki Skoda w mieście.

- Jak wyglądał wtedy rynek samochodowy?

- Był wielki entuzjazm i były inne czasy. Zaczęliśmy w maju roku 2000. Wtedy padały polskie rekordy sprzedaży wynoszące około 600 tys. samochodów rocznie. W Skodzie modelem topowym była Fabia. Po roku 2010 wszystko się zmieniło. Zaczęło napływać coraz więcej używanego złomu, bez żadnych badań technicznych i katalizatorów. Przed laty były również inne priorytety. Ludzie spełniali marzenia, bo wreszcie mogli kupić nowy samochód, z gwarancją, w normalny sposób w salonie. Nie trzeba było czekać w kolejkach, by stać się właścicielem auta. Później sprzedaż spadła i obecnie oscyluje wokół 300 tys. sztuk w skali kraju. Moim zdaniem jedną z przyczyn takiego trendu stał się łatwy dostęp do kredytów hipo-



Tadeusz Sienkiewicz prezes spółki Auto-Bis.

tecznych, zwłaszcza we frankach szwajcarskich. Dysponując dużymi sumami ludzie zmienili priorytety. Zamiast kupować samochody, chętniej inwestowali w nieruchomości. Rynek samochodowy się popsuł.

- Jak to wygląda w sąsiednich krajach?

- Porównując się do krajów ościennych sytuacja w Polsce jest bardzo dziwna. W przeliczeniu na 1000 mieszkańców kupujemy dwa razy mniej nowych samochodów niż Czesi i Słowacy, czyli mieszkańcy krajów porównywalnych z Polską. Nasze dotychczasowe rządy wiele obiecywały. Mówiono o podatku ekologicznym, który miał być zaporą przed importem zdezertowanego złomu i

innych wspierających rynek regulacjach. Skończyło się na obietnicach. Tymczasem wspieranie rynku nowych samochodów, to nie tylko ekologia, ale również bezpieczeństwo na drogach i rozwój rynku motoryzacyjnego.

- Jakie są techniczne różnice między tamtymi a najnowszymi modelami samochodów?

- Nowe konstrukcje w tym najnowsza Skoda Superb, która otrzymała maksymalną ilość gwiazdek w testach zderzeniowych to samochody wyjątkowo bezpieczne. Oprócz zapewnienia bezpieczeństwa osobom znajdującym się wewnątrz kabiny ma specjalne strefy nadwozia zabezpieczające pieszego w przypadku

potrącenia. Nowe auta spełniają wszystkie, najostrejsze normy środowiska. Warto wspomnieć o najnowszych technologiach budowy elementów nadwozi i zawieszce wykorzystujących stopy tytanowe i włókna węglowe. Dzięki temu najnowszy Superb jest o około 100 kg lżejszy od poprzednika. Prawdziwa rewolucja dokonała się również w produkcji silników, zarówno z zapłonem iskrowym, jak i samoczynnym czyli diesli. Moc osiągana z jednego litra pojemności skokowej jeszcze niedawno rzadko przekraczała 50 KM. Obecnie często przekracza 100 KM, czyli tyle ile u schyłku minionego stulecia osiągały auta F - 1. Nowe produkty Skody, takie jak

Rapid, Octavia i Superb wyposażono w całą gamę silników benzynowych TSI z tzw. podwójnym doładowaniem i mocach od 80 do 280 KM. Silniki TDI z bezpośrednim wtryskiem i magistralą Common Rail osiągają moce od 105 do 190 KM spełniając najnowszą normę emisji spalin Euro 6. Jeżeli chodzi o bezpieczeństwo bierne, to prawie zawsze spotkamy 7 poduszek powietrznych w standardzie. Standardem jest również system kontroli trakcji ESP a w Superbie system Front Assistans z funkcją awaryjnego hamowania. Uporano się również z tzw. martwym polem w lusterkach i wprowadzono system jego monitorowania z sygnalizacją diodami LED w lusterku zewnętrznym. Technologia LED to znak epoki wprowadzania elektroniki i komputeryzacji samochodów. Auta wyposażone są w systemy multimedialne pozwalające na łączenie się ze smartfonami, technologię Wi-Fi i całe pakiety multimedialne. Te zmiany i pomysły techniczne potwierdzają tylko fakt, że technika motoryzacyjna pod względem innowacji jest tuż za techniką kosmiczną. Trochę to śmieszne, bo sprzedajemy auta spełniające wyśrubowane normy Euro 5 i Euro 6, tymczasem ciągle przywożone są tysiące samochodów używanych nie spełniających żadnych norm. Jeżeli chodzi o ekologię, to jesteśmy w ogonie Europy. Koncerny samochodowe nie bardzo chcą u nas inwestować, bo rynek lokalny jest mały. Istniejące fabryki produkują głównie na eksport.

- Ile Skód wyjechało z salonu Auto - Bis przez te wszystkie lata?

- W ciągu minionych 15 lat sprzedaliśmy około 5 tys. samochodów. Mamy lojalnych klientów, którzy zmieniali u nas już po 3 lub 4 samochody. Nasi klienci stworzyliby małe miasto. Dochodzą jeszcze floty, które obsługujemy. Właśnie po flotach firm widać jakość naszych samochodów. Często są niemiłosiernie katowane, ale to wytrzymują i wiernie służą.

- Podczas imprez organizowanych przez firmę wydaje się, że goście to nie są zwykli klienci a grupa przyjaciół. Jak powstały te relacje?

- Przez te lata zawiązało się wiele przyjaźni z klienta-

mi. W istniejącej w salonie, jedynej w Polsce, galerii odbywają się wystawy i wernisaże malarstwa oraz fotografii. Zrobiliśmy również 13 rajdów dla użytkowników Skód. Zaprzestaliśmy tej formuły bo objechaliśmy już wszystkie atrakcyjne miejsca w dawnym województwie gorzowskim, poza tym ludzie coraz częściej chcą mieć weekendy tylko dla siebie. Podczas rajdów oprócz jazdy i sprawdzania wiedzy o przepisach ruchu drogowego pokazywaliśmy różne ciekawe miejsca. W rajdach brały udział również samochody zabytkowe, w tym należąca do nas Octavia rocznik 1963. Mimo że auto ma ponad pół wieku jest na chodzie. Czasami wypożyczamy ją na różne okazje, takie jak np. śluby. Trzeba jednak tym samochodem na nowo uczyć się jeździć. Przez te lata zrobiliśmy sporo. Wspieraliśmy wiele różnych imprez. Na ścianach korytarza gdzie wieszamy dyplomy i podziękowania brakuje już miejsca. Zawsze staramy się wspomagać różne inicjatywy. Zarówno kulturalne jak i społeczne. Pomagamy oczywiście w miarę możliwości, bo obok lat tłustych były i chude. Zdarzało się, że sprzedaż gwałtownie spadała.

- Teraz na rynek trafia nowy Superb i podobnie jak jego poprzednicy zbiera doskonałe opinie. Na czym polega przewaga tego modelu nad konkurentami?

- Superb cały czas jest najchętniej kupowanym autem przez małe i średnie firmy oraz urzędy. W stosunku jakości do ceny jest bezkonkurencyjny w swojej klasie. Nowy model ma jeszcze więcej miejsca w środku. Jest szerszy i trochę dłuższy. W testach Auto - Świata pokonał Mercedesa klasy E. Superb jest również bardzo ekonomiczny. Niektórzy nie wierzą, ale jadąc np. na trasie S3 zgodnie z przepisami zużyjemy niewiele ponad 4 l oleju napędowego na 100 km. W tym roku Skoda obchodzi 120 rocznicę powstania i nie poddaje się innym markom. W Polsce od sześciu lat jest numerem jeden na rynku. Bierze udział w wielu ważnych wydarzeniach sportowych. A flotę Superbów można zobaczyć w roli samochodów prowadzących na trasie Tour de France.

reklama

MOTO KORD
FIRMA MOTORYZACYJNA

SKLEP MOTORYZACYJNY

- części zamienne do wszystkich marek
- oleje, filtry
- akumulatory
- opony
- akcesoria

AUTO SERWIS

- diagnostyka komputerowa
- naprawy mechaniczne i elektryczne
- przygotowanie do rejestracji
- wymiana opon i wyważanie kół

66-400 Gorzów Wlkp.
ul. Marcinkowskiego 14 c
(koło pętli autobusowej)
tel. 95 729 05 25
602 154 826

ZAPRASZAMY!

r e k l a m a

SIMPLY CLEVER

ŠKODA



CZAS NA COŚ NOWEGO! MŁODSZA ŠKODA FABIA



JUŻ DOSTĘPNA W NASZYM SALONIE!

W zależności od wariantu i wersji zużycie paliwa w cyklu łączonym od 3,4 do 4,8 l/100 km emisja CO₂ od 88 do 110 g/km. Informacje dotyczące odzysku i recyklingu pojazdów wycofanych z eksploatacji na stronie www.skoda-auto



Odwiedzając nasz salon zwróć koniecznie uwagę na **największy w swojej klasie, niezwykle praktyczny** bagażnik Młodszej ŠKODY Fabia i zapytaj jak to możliwe, że stała się **jeszcze bardziej oszczędna w eksploatacji**.

A dlaczego nazywamy ją Młodszą? Spójrz na jej **desing i wyposażenie!** Są całkowicie odmodnione! Przekonaj się odwiedzając nasz Salon. Do Młodszej Škody Fabia dodajemy teraz pakiet przeglądów lub instalację LPG **za 1 zł!**

AUTO-BIS Sp. z o.o.
ul. Olimpijska 46
66-400 Gorzów Wlkp.
95 723 86 60
www.auto-bis.pl

r e k l a m a

DOM TOWAROWY METALPLAST

Ponad 24000 produktów

- NARZĘDZIA I ELEKTRONARZĘDZIA
- OKUCIA I AKCESORIA MEBLOWE
- SYSTEMY DO SZAF I DRZWI PRZESUWNYCH
- ZAMKI, KLAMKI, UCHWYTY
- SAMOZAMYKACZE, SKRZYNKI NA LISTY
- ZAWIASY DRZWIOWE I MEBLOWE
- OKUCIA CIĘŻKIE
- OKUCIA BRAMOWE I ELEMENTY OGRODZENIOWE
- ELEMENTY ZŁĄCZNE I ART. METALOWE
- AUTOMATYKA DO BRAM

Zapraszamy na zakupy!

Logos: Makita, PROLINE, BLACK & DECKER, TRYTON, VULCAN, STANLEY, DEWALT, KEY, CAME, Nice

66-400 GORZÓW WLKP., UL. GARBARY 9, TEL. 95 78 33 151 FAX 95 720 53 10 W. 24

WWW.METALPLASTGORZOW.PL, MARKET@METALPLASTGORZOW.PL

GODZINY OTWARCIA: 8⁰⁰-18⁰⁰; SOB. 9⁰⁰-14⁰⁰